

HONORÉ DE BALZAC

JASZCZUR

Оноре де Бальзак

Jaszczur

«Public Domain»

Бальзак О.

Jaszczur / О. Бальзак — «Public Domain»,

Rafael de Valentin postanawia popełnić samobójstwo. Jego życie zupełnie się nie układa — stracił rodzinę, nie udało mu się zrobić kariery dramaturga ani filozofa, przeżywa nieszczęśliwe miłości, a na dodatek traci ostatnie pieniądze w kasynie. Przypadek jednak sprawia, że Rafael trafia do sklepu z dziełami sztuki, a tam znajduje fragment jaszczuru (skóry przeznaczonej m.in. do wyrobu galanterii) z inskrypcją w sanskrycie. Zdaniem sklepikarza, kto posiada ten talizman, może spełniać swoje marzenia, za każdym razem jaszczur jednak będzie się kurczył, aż zniknie, a właściciel umrze. Po zakupie jaszczuru, Rafael spotyka przyjaciół i postanawia rozpocząć nowe życie. Jaszczur należy do cyklu Komedii Ludzkiej autorstwa Honoriusza Balzaka. Na serię składa się ponad 130 utworów, połączonych przez wielu powtarzających się bohaterów. Autor ukazuje człowieka niemalże jako przedmiot swoich badań obserwowany w różnych środowiskach. Ważnymi tematami Komedii Ludzkiej są finanse, obyczaje oraz miłość.

Содержание

Od tłumacza	5
I. Talizman	8
Конец ознакомительного фрагмента.	36

Honoré de Balzac

Jaszczur

Od tłumacza

Jaszczur (*La peau de Chagrin*), pisany w latach 1830–1831, ukazał się w całości w sierpniu 1831. Powieść ta należy tedy do pierwszej epoki twórczości Balzaca, pisał ją tuż po sukcesach odniesionych *Fizjologią małżeństwa* i *Szuaniami*.

Jak wszystkie dawniejsze utwory (z wyjątkiem młodzieńczych powieści wydanych pod pseudonimem), Balzac wciągnął później i *Jaszczura*, pisanego na parę lat przed uświadomieniem sobie gigantycznego planu, w obręb *Komedii Ludzkiej*¹. Mimo to powieść ta pod wieloma względami różni się charakterem od późniejszych utworów. Nieraz zaznaczałem, że w dziele Balzaca spotyka się, a często walczy, romantyk wątpliwej nieraz próby z realistą; otóż *Jaszczur* jest jednym z najciekawszych dokumentów ewolucji pisarza.

Jaszczur jest poniekąd sam w sobie *Komedią ludzką* ujętą w skrócie. Problem życia i śmierci, jednostki i społeczeństwa, człowieka genialnego i mierności świata, problem myśli i użycia, nędzy i zbytku, poezji i prozy, wiedzy i Tajemnicy, miłości i ambicji, materii i woli – wszystkie te wielkie zagadnienia, które później wypełniają dzieło Balzaca, są już i tutaj; kipią nadmiarem myśli, tłoczą się gorączkowo na kartach tego tomu.

Ale sposób ujęcia jest inny.

Cechą *Komedii ludzkiej* i jedną z największych zdobyczy Balzaca w literaturze jest jego **realizm** w tym znaczeniu, iż Balzac bierze za materiał twórczy swoich powieściowych dramatów życie, nie „heroiczne”, ale życie przeciętne, zwyczajne, przedstawione z drobiazgową wiernością i ścisłością; równocześnie jednak zapuszcza w nie wzrok tak głęboko, widzi w każdym potocznym fakcie tak dalekie perspektywy i związki, uskrzydla je, daje im taki patos i takie rozpięcie, iż, wyszedłszy z realistycznych założeń, przenosi je w świat fantastyczny niemal przez swą intensywność i filozoficzną wymowę. Balzac mitologizuje codzienność.

Tu, w tej powieści, Balzac nie osiągnął jeszcze pełni własnego wyrazu, lub – można powiedzieć – nie opanował jeszcze **techniki** swoich dążeń. Dominuje tu romantyzm koncepcji, a zwłaszcza przeprowadzenia; nie sama rzeczywistość staje się baśnią, mitem, wyłącznie przez sposób jej ujęcia, ale element baśniowy, fantastyczny miesza się wręcz z realizmem wielu szczegółów. Czuć tu zarazem wpływy innego niż francuskie pochodzenia. Tajemniczy starzec, właściciel magazynu starożytności, ma coś z postaci Hoffmana i coś z Goethowskiego Mefista; pakt złej mocy z człowiekiem ma coś z romantycznych poematów. Później Balzac podejmie ten motyw paktu człowieka z szatanem-kusicielem, ale już bez pomocy fantastycznego elementu, a raczej dobywając ten element z realnych możliwości: w historii młodego Rastignaca, a zwłaszcza Lucjana de Rubempré.

Toż samo stosunek poety do świata, nędzy do zbytku, problem talentu zagrzebanego na poddaszu, powróci niejednokrotnie pod piórem Balzaca. Fedora, ten (powiedzmy bez ceremonii) komunał, przedzierzgnie się w świat żywych istot, w panią d'Espard, de Bargeton, de Maufrigneuse, etc. Już tutaj widzimy, jak w tę fantastyczną baśń wdziera się ów zawsze przytomny oczom Balzaca realny rys, owa kwestia pięciu franków lub ich tragiczny brak w wielkim momencie w kieszeni; ów stosunek „między szczęśliwą miłością a rachunkiem praczki”, który zajmuje Balzaca już w *Fizjologii małżeństwa*. Ale te realne rysy zjawiają się tu jeszcze dość nieśmiało i, powiedzmy wręcz, dość nieharmonijnie wyskakują z bajkowego poza tym tła utworu. Trudno o coś naiwniejszego,

¹ Balzac wciągnął (...) w obręb „*Komedii Ludzkiej*” – Czyniąc to, Balzac zmieniał wstecz nazwiska działających osób, dając im odpowiednie nazwiska bohaterów *Komedii Ludzkiej*. [przypis tłumacza]

falszywszego niż środki, którymi młody Rafael chce wzruszyć hrabinę Fedorę, aby, kiedy nawet dzieje jego golizny nie otworzyły jej serca, rzucić jej na głowę owo sakramentalne w tej epoce: „Kobieto! puchu marny!...”. Dodajmy, iż w samym zaraniu miłości Rafaela Balzac odślania z całą naiwnością jego chęć „przyżenienia” się po prostu do bogatej wdowy... Cały ten epizod z Fedorą mógłby zgryźliwy człowiek pomówić o niedorzeczność i brak gustu.

Jakże inaczej później Balzac nauczy się operować tym materiałem! Przypomnijmy sobie ową niezrównaną analizę pierwszych kroków Lucjana w Paryżu (*Stracone złudzenia*) i jego pierwsze zetknięcie się z wielkim światem. Albo też cierpienia młodego Rastignaca (*Ojciec Goriot*) w pensjonacie pani Vauquer!

Valentin – mimo iż lata jego pracy i nędzy są odbiciem ciężkich lat „próby literackiej” samego Balzaca² jest jeszcze w znacznej mierze typowym romantycznym bohaterem, ze swoim „aniołem” i „demonem” przy boku. Bo też Paulina i Fedora są to majaki czystej wyobraźni; twarda, ale rozjaśniona jego wesołością i werwą młodość Balzaca spłynęła i bez anioła, i bez demona; pierwszego swego anioła znalazł nieco później, ale był to anioł o dwadzieścia i parę lat starszy od młodego Honoriusza...

I tu możemy rzucić porównanie z późniejszym rozwinięciem tego motywu np. w *Straconych złudzeniach*. „Aniołem” Lucjana jest tam aktorka Koralia, demonem pani d'Espard. I oto anioł prowadzi go do zguby, demon mógłby go ocalić! Im bardziej Balzac poznaje życie, tym mniej przedstawia mu się ono prostolinijnie, komplikuje się, wikła.

Podobnie inne figury. Ów Rastignac w *Jaszczurze* to ledwie gruby zarys tej pełnej i wycieniowanej postaci, jaka później będzie nosić to nazwisko. Można rzec, iż poza nazwiskiem niewiele te dwie postacie mają z sobą wspólnego; tak samo korsarz literacki Finot jest jeszcze grubą karykaturą tego, czym będzie gdzie indziej.

Można rzec, iż Balzac czuje wartość, jaką życie Paryża i jego nieograniczone prawie możliwości mają dla jego koncepcji, ale jeszcze nie umie – a przynajmniej nie zawsze umie – dość pewną dłońią skojarzyć element rzeczywisty z fantastycznym lub też wydobyć fantastyczność z samejże realności. Trzeba mu nie tylko cudownego talizmanu, ale paru milionowych spadków, przychodzącego na zawołanie szczęścia w karty itp., aby podtrzymać wątek bajki. Kariera Lucjana de Rubempre – niemniej fantastyczna – a przynajmniej pierwsza jej połowa, wysnuta będzie całkowicie z naturalnego – skondensowanego tylko artystycznie – biegu wypadków i gry charakterów.

Jeżeli podjąłem tę konfrontację *Jaszczura* z późniejszymi utworami pisarza, to dlatego, iż oglądane w tym świetle nawet słabsze momenty tej książki mogą czytelnikowi-balzakiście stać się interesujące. Tym bardziej, iż w każdym szczególe mają one styl, **myszkę** epoki, która dla przeciętnej publiczności jest wadą książki, dla znawcy jej wdziękiem.

Ale nawet brana sama w sobie książka ta zdradza „lwi pazur”. Bije z niej pełnia, nadmiar życia, myśl przelewa się niemal poza brzegi. Są tam stronicie przejmujące, niezapomniane, jak np. błędzenie samobójcy nad Sekwaną, ostatnie momenty Rafaela w górskiej dolinie lub ten oszałamiający opis gabinetu starożytności. Balzac będzie całe życie namiętym kolekcjonerem i niejedna jego powieść zawierać będzie inwentarz jakiegoś małego muzeum, ale nigdzie nie wydobył z tych martwych przedmiotów takiej perspektywy wieków, nigdzie tak ich nie przepoił duchem jak tutaj.

Słynny opis biesiady Taillefera jest pierwszą redakcją owych uczt paryskich, gdzie myśl musuje i perli się na równi z szampanem, że tylko przypomnę owe dwie kolacje dziennikarzy w *Straconych Złudzeniach*. W pierwszym wydaniu *Jaszczura* nazwiska osób cytowanych były nazwiskami żyjących osób (np. zamiast Canalis był Wiktor Hugo etc.); później Balzac zastąpił je nazwiskami osób z *Komedii ludzkiej*. Interesującym w owej scenie jest to, że stanowi ona – na dystans trzech wieków! – echo rozdziału z *Gargantui* Rabelego pt. „Pogwarki pijackie”, parafrazą owego rozdziału, z wyraźną intencją wydobywania tego, co jest cechą współczesności: hiperintelektualizm, nadużycie myśli żrącej

² są odbiciem ciężkich lat „próby literackiej” samego Balzaca – Życiorys Balzaca znajdzie czytelnik w przedmowie tłumacza do *Ludmiła Lambert*. [przypis tłumacza]

wszystko niby gryzący kwas i nieopuszczającej nowoczesnego człowieka nawet przy biesiadzie i zabawie.

Ale najgłębszym może, najbardziej nowym motywem *Jaszczura* jest ów problem **śmierci** sam w sobie, wyprzedzający o pół wieku głośną powieść Tolstoja.

Śmierć, choroba, ten temat ujęty z komicznej strony przez Moliera w *Chorym z urojenia*, tu występuje w całym swoim tragizmie.

Patrzałem przed kilku laty na powolną śmierć znajomego lekarza, chorego na chroniczne cierpienie nerek. Miał przed sobą – i wiedział o tym – kilka lat, w razie zachowania najściślejszego trybu życia. Miesiącami przestrzegał drobiazgowo diety i innych przepisów, codziennie sam oznaczając procent białka: ta próbówka lekarska czyż to nie był jego „jaszczur”? To znów rzucił w kąt próbówkę, lekarstwa i pił na umór, spraszał gości, szukał gwaru, światła, sam jeden obcy tej sztucznej wesołości, wodząc szklanym wzrokiem po obecnych...

Ale Balzac nie poprzestał na nagim fakcie śmierci, fakcie zbyt powszechnym, nieuniknionym, aby mógł być sam przez się dramatem. Wyczuł on doskonale, jakich elementów trzeba, aby wydobyć pełny tragizm śmierci.

Wyobraźmy sobie chorego nieuleczalnie artystę, myśliciela, który wie, że każda napisana stronica, każdy namalowany obraz jest gwoździem do jego trumny, i który miota się między instynktem życia a potrzebą, przymusem tworzenia. Wyobraźmy sobie człowieka kochającego namiętnie kobietę, a świadomego, iż każdy jej pocałunek jest kupiony ceną paru tygodni życia! Ten jaszczur, w którego fatydycznym³ konturze skupia się stosunek między nasileniem życia a trwaniem jego płomienia, staje się wówczas głębokim i przejmującym symbolem.

Są pewne książki Balzaca, które czyta się niejako „na potem”. Póki się je czyta, mnóstwo szczegółów razi, śmieszy dziś nawet; ale skoro od nich odejść, giną w spojrzeniu myśli wszystkie te skazy, trywialności, śmieszności, niby pocieszne grupki turystów na granitowym złomie gór; wzrok pamięci ogląda jedynie surowy zarys szczytu. Do nich należy *Jaszczur*. Kto pozna tę książkę, temu nieraz przyjdzie się zadumać nad jej wspomnieniem.

Boy

Warszawa, w kwietniu 1924.

*Panu Savary Członkowi Akademii Nauk
Sterne: Tristram Shandy r. CCCXXII.*

³ fatydyczny – proroczy; por. *fatum*. [przypis edytorski]

I. Talizman

Pod koniec października roku 1829 młody człowiek wszedł do Palais-Royal, w chwili gdy otwierano domy gry, zgodnie z prawem popierającym namietność tak dogodną do opodatkowania. Nie namyślając się zbyt, wszedł na schody wiodące do szulerni nr 36.

– Panie, panie, kapelusz? – krzyknął za nim suchy i zręczny głos małego, wyblakłego staruszka, przycupniętego w cieniu, za barierą, który wstał nagle, ukazując plugawą fizjonomię.

Skoroś przekroczył próg domu gry, prawo obiera cię najpierw z kapelusza. Jest li to ewangeliczna i opatrnościowa przenośnia? Czy to nie jest raczej sposób zawarcia z tobą piekielnej umowy, mocą wziętego od ciebie jakiegokolwiek zastawu? Czy to ma wymóc na tobie pełną szacunku postawę wobec tych, którzy zabiorą ci pieniądze? Czy to policja, przyczajona we wszystkich ścieżkach społecznych, pragnie znać nazwisko tego kapelusznika albo twoje, o ile je wypisałeś na swym nakryciu głowy? Czy to może wreszcie po to, aby zdjąć pomiar twojej czaszki dla celów pouczającej statystyki co do pojemności mózgów graczy? Na tym punkcie zarząd zachowuje zupełne milczenie. Ale, wiedz to dobrze, ledwie uczyniłeś krok w stronę zielonego stolika, już twój kapelusz nie należy do ciebie, tak samo jak ty sam nie należysz do siebie: należysz do gry, ty, twój majątek, twoje nakrycie głowy, twoja laska i twój paltot. Przy wyjściu GRA okaże ci, jakby dla zadrwienia z ciebie, że jeszcze zostawiła ci coś, oddając ci twoje rzeczy. Bądź co bądź, o ile miałeś kapelusz nowy, dowiesz się po szkodzie, że gracz powinien mieć specjalny kostium.

Zdziwienie młodego człowieka, kiedy otrzymał drewno z numerem w zamian za swój kapelusz, którego brzegi na szczęście były lekko wytarte, dość wyraźnie świadczył o duszy jeszcze niewinnej; toteż starzec, który z pewnością od młodu gnił w gorączkowych rozkoszach życia graczy, objął go martwym i wystygłym spojrzeniem, w którym filozof wyczytałby nędzę szpitala, tułaczkę bankruta, protokoły samobójstw, dożywotnie galery, wysiedlenia do Guazacoalco. Człowiek ten, którego długa biała twarz była tak chuda jak zupka w garkuchni, przedstawiał blady obraz namietności sprowadzonej do swej najprostszej wymowy. W zmarszczkach jego czały się ślady dawnych tortur; z pewnością człowiek ten niósł molochowi gry swoją nędzną płacę tuż po jej otrzymaniu. Podobny szkapie, na którą bat już nie działa, nie wzruszał się niczym; głuche jęki zrujnowanych graczy, ich nieme błagania, ich tępe spojrzenia znajdowały go stale obojętnym. Była to wcielona Gra. Gdyby młody człowiek przyjrzał się temu smutnemu cerberowi, może byłby sobie powiedział: „W tym sercu jest już tylko talia kart!”. Nieznajomy nie usłuchał tej żywej przestrogi, pomieszczonej tu bez wątpienia przez Opatrność, tak jak pomieściła ona wstręt u progu wszystkich miejsc rozpusty. Wszedł pewnym krokiem do sali, gdzie dźwięk złota działał upajająco na rozgrzane pożądliwością zmysły. Młodzieńca tego pchało tam zapewne najlogiczniejsze ze wszystkich wymownych zdań Jana Jakuba Rousseau, którego smutna myśl jest, jak sądzę, ta: „Tak, rozumiem, że człowiek idzie grać, ale wtedy, gdy między sobą a śmiercią, widzi jedynie ostatniego talara”.

Wieczorem domy gry mają poezję jedynie pospolitą, ale o działaniu tak pewnym jak działanie krwawego dramatu. Sale pełne są widzów i graczy, ubogich starców, którzy przywlekli się, aby się tu ogrzać, podnieconych twarzy, orgii, które zaczynają się w winie, a łąco mogą się skończyć w Sekwanie. Jeżeli plon namietności jest obfity, nadmierna liczba aktorów pozwala ci przyjrzeć się twarzą w twarz demonowi gry. Taki wieczór jest istnym ansamblowym utworem, gdzie cała trupa krzyczy, gdzie każdy instrument w orkiestrze wyciąga swoją frazę. Ujrzysz tam wielu szanownych ludzi, którzy przychodzą szukać rozrywki i płacą za nią tak, jak płaciliby za teatr, za dobrą kuchnię lub jakby szli do jakiejś nory kupić za tanie pieniądze piękne żale na parę miesięcy. Ale czy pojmujesz, ile szafu, ile energii musi się gromadzić w duszy człowieka czekającego niecierpliwie otwarcia szulerni? Między graczem dziennym i nocnym jest ta różnica, co między flegmatycznym mężem a kochankiem mdlejącym z żądy pod oknami lubej. Jedynie rano dygocąca namietność i potrzeba zjawiają się w całej swej okropności. W tej chwili możesz podziwiać prawdziwego gracza,

gracza, który nie jadł, nie spał, nie żył, nie myślał, tak mocno smagał go bicz obmyślonego „systemu”, tak nieznośnie swędzą go kombinacje *trente-et-quarante*. O tej przeklętej godzinie spotkasz oczy, których spokój przeraża, twarze, które cię przykuwają, spojrzenia, które przyciągają karty i pożerają je. Toteż domy gry są wspaniałe jedynie w chwili otwarcia. Jeżeli Hiszpania ma swoje walki byków, jeżeli Rzym miał swoich gladiatorów, Paryż pyszni się swoim *Palais-Royal*, którego drażniące rulety dają przyjemność oglądania krwi płynącej strumieniami, bez niebezpieczeństwa poślizgnięcia się o nią na podłodze. Spróbuj rzucić przelotne spojrzenie na tę arenę, wejdź!... Cóż za nagość! Ściany obite papierem zatłuszczonym na wysokość człowieka nie przedstawiają ani jednego obrazu zdolnego orzeźwić duszę. Nie ma tam nawet gwoźdźcia dla ułatwienia samobójstwa. Podłoga zużyta i niechlujna. Podłużny stół zajmuje środek sali. Proste słomiane krzesła, cisnące się dokoła tego sukna wytartego złotem, świadczą o szczególnej obojętności na zbytek u tych ludzi, którzy przychodzą tu ginąć dla majątku i dla zbytku. Ta sprzeczność ludzka ujawnia się wszędzie, gdzie dusza żyje potężnie własnymi zasobami. Kochanek chce spowić swą lubą w jedwabie, oblec ją w najmniejsze tkaniny Wschodu, a najczęściej posiada ją jakimś tapczanie. Ambitny marzy o bezgranicznej władzy, płaszcząc się w błocie służalstwa. Kupiec wegetuje w głębi wilgotnego i niezdrowego sklepu, wznosząc wspaniałą pałac, skąd syna jego, przedwczesnego spadkobiercę, wypędzi braterska subhasta. Wreszcie czy istnieje coś wstrętniejszego niż przybytek „rozkoszy”? Osobliwy problem! Wciąż w sprzeczności z samym sobą, oszukując swoje nadzieje obecną niedolą, a swoje niedole przyszłością, która doń nie należy, człowiek daje wszystkim swoim uczynom piętno niekonsekwencji i słabości. Na tym padole pełne jest tylko nieszczęście.

W chwili, gdy młody człowiek wszedł do sali, było już tam kilku graczy. Trzech łysych starców siedziało dokoła zielonego stołu; ich gipsowe twarze, niewzruszone jak twarze dyplomatów, odsłaniały dusze zużyte, serca, które od dawna odwykły bić, nawet przy stawianiu na kartę posagu żony. Młody Włoch o kruczonych włosach i oliwkowej cerze stał oparty spokojnie o stół i zdawał się słuchać owych tajemnych przeczuć, które krzyczą niechybnie graczowi; „Tak! – Nie!”. Ta południowa głowa oddychała ogniem i złotem. Siedmiu czy ośmiu widzów stojących kołem tak, że tworzyli galerię, oczekiwało scen, które im gotowały igraszki losu, twarze aktorów, ruch pieniędzy i grabek. Próżniacy ci stali tam milczący, nieruchomi, baczni, jak lud na placu Grève, kiedy kat kosi głowę. Wysoki, suchy mężczyzna w wytartym ubraniu trzymał w jednej ręce kartkę, a w drugiej szpilkę, aby znaczyć **czarne** lub **czzerwone**. Był to jeden z tych nowożytnych Tantalów żyjących na marginesie wszystkich uciech swej epoki, jeden z owych skąpców bez skarbu, rozgrywających urojoną stawkę; gatunek rozsądnego wariata, który pociesza się w swej nędzy, pieszcząc chimery, który, słowem, manipuluje występkiem i niebezpieczeństwem tak, jak młodzi księża odprawiający **białe msze** eucharystią. Na wprost banku znajdowało się paru owych szczywanich kombinatorów wytrawionych w ogniu gry, podobnych starym galernikom, których nie przerażają już galery; tacy przychodzą, aby postawić dwa lub trzy razy i unoszą natychmiast prawdopodobny zysk, stanowiący ich utrzymanie. Dwaj starzy służący zakładowi przechadzali się niedbale z założonymi rękami, spoglądając od czasu do czasu w ogród przez okno, jak gdyby dla pokazania przechodniom, niby szyldu, swoich tępych fizjonomii. Krupier i bankier objęli właśnie poniterów owym bladym spojrzeniem, które ich zabija, i wyrzekli dyszkantem: „Proszę obstawiać!” w chwili, gdy młody człowiek otworzył drzwi. Milczenie stało się jak gdyby głębsze, głowy obróciły się przez ciekawość ku nowo przybyłemu. Rzecz niesłychana! Stąpiali starcy, skostnieli funkcjonariusze, widzowie, nawet zaciekły Włoch, wszyscy na widok nieznajomego doznali jakiegoś okropnego uczucia. Czy nie trzeba być bardzo nieszczęśliwym, aby uzyskać litość, bardzo słabym, aby wzbudzić sympatię lub też wyglądać bardzo złowrogo, aby wstrząsnąć dreszczem dusze w tej sali, gdzie cierpienie musi być nieme, gdzie nędza jest wesoła, a rozpacz przyzwoita? Otóż było coś z tego wszystkiego we wrażeniu, które poruszyło te lodowate serca, kiedy młody człowiek wszedł. Czyż kaci nie płakali nieraz nad jasnowłosymi dziewczynkami, których głowy miały spaść na znak Rewolucji?

Od pierwszego rzutu oka gracze wyczytali na twarzy nowicjusza jakąś straszną tajemnicę; młode jego rysy były przepełnione melancholijnym wdziękiem, spojrzenie świadczyło o zawiedzionych wysiłkach, o tysiącu oszukanych nadziei. Martwa beczliwość samobójstwa dawała temu czołu matową i chorobliwą bladość, gorzki uśmiech rysował lekkie fałdy w kątach ust, a fizjonomia wyrażała rezygnację, na którą przykro było patrzeć. Jakiś tajemniczy Duch migotał w głębi tych oczu zamglonych może wyczerpaniem rozkoszy. Czy to rozpusta naznaczyła swoim brudnym piętnem tę szlachetną twarz, niegdyś czystą i promienną, obecnie spodloną? Lekarze przypisaliby z pewnością chorobie serca lub piersi żółtą obwódkę okalającą powieki i rumieniec barwiący policzki; poeci chcieliby w tych znakach widzieć spustoszenia sprawione przez naukę, ślady nocy spędzonych przy blasku studenckiej lampy. Ale namiętność bardziej śmiertelna od choroby, choroba bardziej bezlitosna od nauki i talentu szpeciły tę młodą głowę, napinały te pełne życia mięśnie, kurczyły to serce, które rozpusta, nauka i choroba zaledwie musnęły. Podobnie jak słynnego zbrodniarza, gdy zjawi się w kaźni, skazańcy przyjmują z szacunkiem, tak wszystkie te czarty ludzkie, znawcy wszelkich męczarni skłonili się przed niesłychaną boleścią, przed głęboką raną, którą zgłębili wzrokiem, uznając w przybytku jednego ze swych książąt po majestacie jego niemej ironii, po wytwornej nędzy jego stroju. Młody człowiek miał frak wykwinicie skrojony, ale kamizelka nazbyt misternie spojona była z krawatem, aby można było pod nią przypuszczać obecność bielizny. Ręce, ładne jak u kobiety, były wątpliwej czystości: od dwóch dni obywateli się bez rękawiczek! Jeżeli krupier, a nawet służący zadrżeli, to dlatego, że czar niewinności wykwił tu i ówdzie w tych wątych i delikatnych kształtach, w tych jasnych i rzadkich włosach, układających się w naturalne pukle. Ta twarz miała jeszcze dwadzieścia pięć lat, a występki zdawały się na niej jedynie czymś przygodnym. Krzepkie, młode życie walczyło ze spustoszeniami bezsilnej lubieżności. Mroki i światło, nicość i istnienie ścierały się na niej, rodząc równocześnie i wdzięk, i ohydę. Młody człowiek wyglądał tam niby anioł bez promieni, zbłąkany w swej drodze. Toteż wszyscy ci starzy nauczyciele występku i hańby, podobni do bezzębnej staruchy zdjętej litością na widok młodej dziewczyny, która rzucić ma się w rozpustę, omal nie krzyknęli nowicjuszowi: „Wyjdź stąd!”. On podszedł prosto do stołu, zatrzymał się, cisnął bez żadnych obliczeń na stół sztukę złota, którą miał w ręce i która potoczyła na **czarne**, po czym jak silne dusze brzydzące się małostkową niepewnością, objął krupiera spojrzeniem wraz burzliwym i spokojnym. Zaciekawienie w sali było tak wielkie, że starcy zapomnieli postawić; natomiast Włoch chwycił się z fanatyczną namiętnością myśli, która mu się nagle uśmiechnęła, i postawił kupę złota przeciw stawce nieznanego. Bankier zapomniał wygłosić tych frazesów, które z czasem zmieniły się w chrapliwy i niezrozumiały krzyk: „Panowie, proszę stawiać! – Obstawione! – Nie przyjmuje się więcej!”. Krupier rozłożył karty z miną taką, jak gdyby życzył szczęścia ostatnio przybyłemu, obojętny na zysk lub stratę przedsiębiorców tych posępnych rozkoszy. Każdy z graczy dopatrywał się dramatu i ostatniej sceny szlachetnego życia w losach tej sztuki złota; oczy ich utkwione w fatydycznych obrazkach błyszczały; ale mimo uwagi, z jaką spoglądali kolejno na młodego człowieka i na karty, nie mogli dostrzec żadnej oznaki wzruszenia na jego zimnej i zrezygnowanej twarzy.

– Czerwone, parzyste *passe* – wywołał urzędownie krupier.

Głuchy charkot dobył się z piersi Włocha, kiedy ujrzał padające kolejno zwitki banknotów, które mu rzucał bankier. Co się tyczy młodego człowieka, zrozumiał katastrofę dopiero w chwili, gdy grabki wysunęły się, aby mu zgarnąć ostatniego napoleona. Kość słoniowa dobyła suchy dźwięk ze sztuki monety, która, szybka jak strzała, pomknęła ku kupie złota wznoszącej się przed kasą. Nieznajomy przyknuł lekko oczy, wargi mu zbieleły; ale niebawem podniósł powieki, usta odzyskały barwę koralu, przybrał minę Anglika, dla którego życie nie ma już tajemnic, i znikł nie żebrać pociechy owym rozdzierającym spojrzeniem, jakie zrozpaczeni gracze rzucają dość często w stronę galerii widzów. Ile wypadków tłoczy się na przestrzeni sekundy, a ile rzeczy w jednym rzucie kości!

– Z pewnością ostatni jego nabój – rzekł z uśmiechem krupier po chwili milczenia, przez którą trzymał tę sztukę złota w dwóch palcach, aby ją pokazać obecnym.

– To wariat; pójdzie teraz rzucić się w wodę – odparł jakiś bywalec, spoglądając dokoła po graczech, którzy znali się wszyscy.

– Ba! – wykrzyknął służący zakładowy, biorąc szczyptę tabaki.

– Gdybyśmy byli naśladowali pana! – rzekł starzec do swoich kolegów, wskazując Włocha.

Wszyscy spojrzeli na szczęśliwego gracza, któremu ręce drżały przy liczeniu banknotów.

– Usłyszałem – rzekł – głos, który mi krzyczał do ucha; „Gra zadrwi sobie z rozpaczcy tego chłopca”.

– To nie jest gracz – dodał bankier – inaczej byłby podzielił swoją stawkę na trzy partie, aby zyskać więcej szans.

Młody człowiek przeszedł, nie żądając kapelusza; ale stary cerber, zauważywszy nędzny stan tego łachmana, oddał mu go bez słowa; gracz zwrócił machinalnie znaczek i zeszedł po schodach gwizdząc *Di tanti palpiti* tak wątlwym tchem, że ledwie sam mógł słyszeć tę uroczą melodię.

Niebawem znalazł się w galeriach Palais-Royal, dotarł aż do ulicy Św. Honoriusza, skręcił ku Tuileriom i przebył ogród niepewnym krokiem. Szedł jakby wśród pustyni, potrącany przez ludzi, których nie widział, słysząc poprzez uliczny gwar tylko jeden głos, głos śmierci; słowem, zatopiony w martwej zadumie, podobnej do tej, jaka niegdyś musiała ogarniać zbrodniarzy, gdy wózek wioził ich z **Pałacu** na plac Grève, ku owemu rusztowaniu czerwonemu od wszystkiej krwi wylanej od roku 1793.

Jest coś dziwnie wielkiego i okropnego w samobójstwie. Upadek większości ludzi nie jest niebezpieczny, jak u dziecka, które pada ze zbyt bliska, aby się skaleczyć; ale kiedy rozbija się wielki człowiek, musi to być z bardzo wysoka, musiał się wznieść aż w niebo, dojrzeć jakiegoś niedostępnego raju. Nieubłagane muszą być huragany, które mu każą szukać spokoju duszy w lufie pistoletu. Ile młodych talentów uwieczonych na jakimś poddaszu więdnie i ginie dla braku przyjaciela, dla braku kobiety pocieszycielki, pośród miliona istot, w obecności tłumu przesyconego złotem i żartego nudą! Na tę myśl samobójstwo przybiera gigantyczne kształty. Między dobrowolną śmiercią a żyzną nadzieją, której głos wołał młodego człowieka do Paryża, sam Bóg wie, ile tłoczy się pomysłów, poniekanych poezji, zdławionych rozpaczcy i krzyków, daremnych pokus i poronionych arcydzieł. Każde samobójstwo jest wzniosłym poematem melancholii. Gdzie znajdziecie w oceanie literatury książkę, która by mogła walczyć na siłę wyrazu z tą gazeciarską notatką:

„Wczoraj o godzinie czwartej młoda kobieta rzuciła się do Sekwany z mostu **des Arts**”.

Wobec tego paryskiego lakonizmu dramaty, romanse, wszystko błędnie, nawet ten stary napis: **Lamentacje wspaniałego króla Kaërnawana wtrąconego do więzienia przez własne dzieci**; ostatni fragment zagubionej książki pobudzającej do płaczu owego Sterna, który sam opuścił swoją żonę i dzieci...

Nieznajomego oblegało tysiąc podobnych myśli, przebiegały strzępami przez jego duszę, tak jak podarte sztandary fruwały na polu bitwy. Jeżeli na chwilę odkładał brzemię swej inteligencji i swoich wspomnień, aby przystanąć przed jakimś kwiatkiem, którego główkę miękko kołysał wietrzyk wśród zieleni, niebawem, owładnięty spazmem życia, które przeżyło się jeszcze pod gniotącą myślą samobójstwa, wznosił oczy ku niebu: tam szare chmury, podmuchy wiatru przepełnione smutkiem, duszna atmosfera doradzały mu znowuż umrzeć. Skierował się w stronę mostu Królewskiego, myśląc o ostatnich zachceniach swoich poprzedników. Uśmiechnął się, przypominając obie, że lord Castlereagh zaspokoił wprzód najniższą z ludzkich potrzeb, zanim sobie poderżnął gardło; akademik zaś Auber poszukał tabakierki, aby zażywać tabakę idąc na śmierć. Rozbierał te dziwactwa i zastanawiał się nad samym sobą; naraz, kiedy się usunął ku parapetowi mostu, aby przepuścić jakiegoś tragarza, ten oprószył mu lekko rękaw; otóż złapał się tym, że starannie otrzepał pył. Doszedłszy do połowy mostu, spojrział posepnie na wodę.

– Lichy czas dla topielców – rzekła, śmiejąc się, staruszka w łachmanach. – Ależ brudna i zimna ta Sekwana!

Odpowiedział szczerym uśmiechem, który świadczył o napięciu jego determinacji; ale naraz zadrżał, ujrawszy z daleka, koło tuileryjskiego portu, barak uwieńczony napisem, gdzie rysowały się literami na stopę wysokimi te słowa: POMOC DLA TOPIELCÓW. Ukazał mu się pan Dacheux zbrojny swą filantropią, jak budzi i wprawia w ruch owe cnotliwe wiosła, rozbijające głowy topielcom, skoro nieszczęściem wynurzą się nad wodę; ujrzał go, jak ściąga ciekawych, woła lekarza, cuci; odczytał żale dziennikarza kreślone przy wesołej kolacji, pod okiem uśmiechniętej tancerki; usłyszał dźwięk talarów wyliczanych za jego głowę przewoźnikowi przez prefekta policji. Po śmierci wart był pięćdziesiąt franków; ale żywy był jedynie talentem bez protektorów, bez przyjaciół, bez legowiska, bez dachu, prawdziwym zerem społecznym, bezużytecznym dla państwa, dla którego się nie liczy. Śmierć w biały dzień wydała mu się ohydą, postanowił umrzeć w nocy, aby rzucić nieodgadnionego trupa temu społeczeństwu nierozumiejącemu wielkości jego życia! Szedł tedy dalej przed siebie i skierował się ku wybrzeżu Woltera, przybierając niedbały chód próżniaka starającego się zabić czas. Skoro zeszedł po stopniach, którymi kończy się chodnik mostu, uwagę jego ściągnęły książki rozłożone na parapecie na rogu wybrzeża; mało brakło, a zacząłby targować którą. Uśmiechnął się, włożył filozoficznie ręce do kieszeni i miał wrócić do swej niedbalej postawy, w której przebiegała zimna wzgarda, kiedy nagle usłyszał ze zdumieniem w swej kieszeni zgoła fantastyczny dźwięk kilku sztuk monety. Uśmiech nadziei rozjaśnił jego twarz, ześlizgnął się z warg na policzki, na czoło, rozpromienił radością oczy i posępne lica. Ta iskierka szczęścia podobna była do owych ogników, które biegną po strzępach papieru już zżartego płomieniem; ale twarz podzieliła los czarnych popiołów, stała się z powrotem smutna, kiedy nieznajomy, wyciągnąwszy żywo rękę z kieszonki, ujrzał trzy miedziaki.

– Och, mój dobry panie, *la carità! la carità! Catarina!* grosika na chlebuś!

Mały kominiarczyk z obrzękłą czarną twarzą, z ciałem ciemnym od sadzy, odziany w łachmany wyciągał rękę do tego człowieka, aby mu wydrzeć jego ostatni grosz.

O dwa kroki od małego Sabaudczyka stary, nieśmiały żebrak, chorowity, znękany, odziany w jakąś brudną i dziurawą szmatę, ozwał się grubym i bezdźwięcznym głosem:

– Panie, daj mi **co łaska**, będę się modlił za Pana...

Ale kiedy młody człowiek spojrzał na żebraka, ów zamilkł i nie prosił już o nic, poznając może na tej grobowej twarzy liberię nędzy okropniejszej może niż jego własna.

– *La carità! la carità!*

Nieznajomy rzucił swoje groszaki dziecku i starcowi, po czym opuścił chodnik, udając się w stronę domów, nie mógł znieść przejmującego widoku Sekwany.

– Będziemy się modlili do Boga, aby panu dał długie życie – rzekli dwaj żebracy.

Zbliżając się do wystawy handlarza sztychów, wpółmartwy ten człowiek spotkał młodą kobietę wysiadającą ze świetnego pojazdu. Patrzał z rozkoszą tę uroczą osobę, której biała twarz była harmonijnie oprawna w atłas wykwinanego kapelusika. Oczarowała go smukła kibić, zręczne ruchy. Suknia podniesiona przez stopień pojazdu odsłoniła nóżkę, której delikatny zarys znaczył się białą i dobrze obciążoną pończochą. Młoda kobieta weszła do sklepu, oglądała albumy, zbiory litografii; nakupiła za kilka sztuk złota, które zabłysły i zadźwięczały na ladzie. Młody człowiek, na pozór zajęty na progu oglądaniem rycin wystawionych w oknie, objął żywo piękną nieznajomą wymownym spojrzeniem, otrzymując w zamian ów obojętny rzut oka, jakim się darzy niekiedy przechodnia. Było to z jego strony pożegnanie z miłością, z kobietą! Ale to ostatnie i przejmujące zapytanie nie znalazło oddźwięku, nie poruszyło serca płochy kobiety, nie przyprawiło jej o rumieniec, nie kazało spuścić oczu. Cóż to było dla niej? Jedno pochlebstwo więcej, zbudzone pragnienie, które wieczorem podsunie jej te lube słowa: „Byłam dziś ładna!”. Młody człowiek skupił żywo wzrok na jakiejś rycinie i nie odwrócił się, gdy nieznajoma wsiadała do powozu. Konie ruszyły, ten ostatni obraz wykwinu i zbytku znikł, tak jak miało zniknąć jego życie. Szedł smętnym krokiem wzdłuż

sklepów, oglądając bez wielkiego zainteresowania próbki towarów. Kiedy mu zbrakło sklepów, oglądał Luwr, Instytut, wieże Notre-Dame, Pałacu, most *des Arts*. Budowle te przybrały jak gdyby wyraz smutku, odbijając szare tony nieba; rzadkie poblaski światła dawały jakiś groźny wygląd Paryżowi, który jak ładna kobieta podlega niewytłumaczonym kaprysom piękna i brzydoty. Tak więc natura sama siła się pogrążyć skazańca w bolesnej ekstazie. Wydany tej złowrogiej potędze, której rozkładowe działanie sączy się wraz z fluidem krążącym w naszych nerwach, uczuł, iż organizm jego dochodzi nieznacznie do zjawisk jak gdyby **płynności**. Męczarnie tej agonii dawały mu wrażenie ruchu podobnego ruchowi fal i sprawiały, iż widział budynki i ludzi poprzez mgłę, w której wszystko falowało. Chciał się otrząsnąć z tego łaskotania, jakim niepokoiły jego duszę wrażenia natury fizycznej i skierował się ku magazynowi starożytności w zamiarze dania stawy swoim zmysłom lub doczekania nocy, targując jakieś dzieła sztuki. Znaczyło to niejako skupiać odwagę i prosić o kordiał jak skazaniec, który nie ufa swoim siłom, idąc na rusztowanie; ale świadomość bliskiej śmierci wróciła na chwilę młodemu człowiekowi pewność siebie godną księżnej mającej dwóch kochanków: wszedł do handlarza osobliwości swobodnie, z uśmiechem zastygłym na ustach jak uśmiech pijaka. Czyż nie był pijany życiem lub może śmiercią? Niebawem nawiedził go znów ten sam zawrót głowy, wciąż widział przedmioty dziwnie zabarwione lub ożywione lekkim ruchem, którego przyczyny tkwiły niewątpliwie w nieregularnym krążeniu jego krwi, to kipiącej jak wodospad, to spokojnej i mdłej jak letnia woda. Poprosił naturalnym tonem o pokazanie mu magazynów dla zobaczenia, czy nie znajdzie się coś, co by mu się nadało. Młody chłopiec o świeżej i pyzatej twarzy, o rudej czuprynie nakrytej futrzaną czapeczką powierzył opiekę nad sklepem starej wieśniaczce, wcieleniu żeńskiego Kalibana, zajętej czyszczeniem pieca, którego cuda zawdzięczały istnienie geniuszowi Bernarda Palissy; po czym rzekł obojętnie do przybysza:

– Proszę, bardzo proszę! Na dole mamy jedynie rzeczy dosyć pospolite; ale jeżeli raczy pan potrudzić się na pierwsze piętro, będę mógł panu pokazać bardzo piękne mumie kairskie, gliniane wyroby inkrustowane, rzeźbione hebany, **prawdziwy renesans**, wszystko świeżo przybyłe, rzeczy skończenie piękne.

W okropnym położeniu, w jakim znajdował się nieznajomy, ten szczebiot *cicerona*, te głupio reklamowe zdania były dlań niby małostkowe dokuczliwości, jakimi małe dusze zamordowują genialnego człowieka. Niosąc swój krzyż do końca, udawał, iż słucha swego przewodnika i odpowiadał mu gestem lub monosylabami; ale niebawem zdołał sobie wywalczyć prawo do milczenia i mógł się oddać bezpiecznie swoim ostatnim dumaniom, które były straszne. Był poetą, a dusza jego znalazła przypadkowo olbrzymi żer: miał widzieć z góry cmentarzysko dwudziestu światów.

Na pierwszy rzut oka magazyny nastreściły mu skłębiony obraz, w którym mieszały się wszystkie dzieła ludzkie i boskie. Krokodyle, małpy, wypchane węże uśmiechały się do witrażów kościelnych, zdawały się chcieć kąsać biusty, biec za jakimś wazonem lub drapać się na świecznik. Waza sewrska, na której pani Jacotot wymalowała Napoleona, znajdowała się obok sfinksa poświęconego Sezostriowi. Początek świata i wczorajsze wydarzenia kojarzyły się z pocieszną dobroduszością. Rożen leżał na monstrancji, szabla republikańska na średniowiecznym rzędzie. Pani du Barry malowana pastelami przez Latoura, z gwiazdą na głowie, w chmurze, zdawała się pożądliwie oglądać indyjską fajkę, siłać się odgadnąć przeznaczenie skrętów, które ku niej pęłzały. Narzędzia śmierci, sztylety, samopały, tajemne bronie pomieszane były z narzędziami życia: półmiski porcelanowe, saskie talerze, przeźroczyste filiżanki przybyłe z Chin, stare solniczki, feudalne kubki. Okręt z kości słoniowej płynął pełnymi żaglami na grzbiecie nieruchomego żółwia. Pneumatyczna maszyna włąziła w oko majestatycznie nieruchomego cesarza Augusta. Kilka portretów ławników francuskich, burmistrzów holenderskich, niewzruszonych obecnie jak za życia, wznosiło się ponad tym chaosem starożytności, obejmując go zimnym i bladym spojrzeniem. Rzekłbyś, wszystkie krainy świata przyniosły tu jakiś szczątek swej wiedzy, próbkę swoich sztuk. Był to rodzaj filozoficznego śmietnika, gdzie nic nie brakowało, ani trzciny fajki dzikiego, ani zielono-złotych pantofli z seraju, ani jataganu Maura, ani tatarskiego bożyszcza. Nawet żołnierska puszcza na tytoń, nawet cyborium

kościelne, nawet pióropusz znad jakiegoś tronu. Te potworne obrazy podlegały jeszcze tysiącnym igraszkom światła wskutek kaprysu mnóstwa refleksów wynikłych z pomieszania odcieni, z nagłych przeciwieństw światła i mroku. Wreszcie uparty kurz zasnuł swą lekką zasłonę na wszystkich tych przedmiotach, których mnogie kąty i liczne wklęsłości rodziły nader malownicze efekty.

Te trzy sale przepełnione cywilizacją, obrządkami, bóstwami, arcydziełami, królestwami, rozpustą, rozumem i szaleństwem, wydały się zrazu nieznanemu niby zwierciadło rzucone w tafelki, z których każda odbijała jakiś świat. Po tym mglistym wrażeniu chciał rozkoszować się ze świadomością; ale pod wpływem patrzenia, myślenia, marzenia popadł w gorączkę zrodzoną może przez głód, który szalał w jego wnętrznościach. Widok tylu istnień, narodowych lub indywidualnych, zaklętych w te dokumenty ludzkie, które po nich przetrwały, do reszty zamroził zmysły młodego człowieka; chęć, która go pchnęła do tego magazynu, ziściła się: opuścił rzeczywiste życie, wstąpił stopniowo w świat złudy, przybył do zaczarowanych pałaców ekstazy, gdzie wszechświat objawił mu się w strzępach, w ognistych smugach, tak jak przyszłość ukazała się niegdyś w blasku oczom świętego Jana na Patmos.

Mnóstwo bolesnych twarzy, uroczych i straszliwych, mrocznych i świetlnych, dalekich i bliskich, podniosło się gromadnie, miriadami, pokoleniami. Egipt sztywny, tajemniczy wstał ze swoich piasków wcielony w mumię spowitą w czarne przepaski; potem faraonowie grzebiący narody całe, aby sobie wzniesć grobowiec, i Mojżesz, i Hebrajczycy, i pustynia – ujrzał cały świat, starożytny i uroczysty. Pełen świeżości i wdzięku, lśniący białością marmurowy posąg na kolumnie rozwijającej się w kształt kielicha mówił mu o rozkosznych mitach Grecji i Jonii. Ach, któż nie byłby się uśmiechnął jak on, widząc na czerwonym tle ciemnowłosą dziewczynę tańczącą na delikatnej glinie wazy etruskiej przed bogiem Priapem, którego pozdrawiała radosnym obliczem? Królowa łacińska pieściła miłosnym spojrzeniem swą chimere! Kaprysy cesarskiej Romy oddychały tu pełną piersią i odsłaniały kąpiel, łożo, gotownię leniwej i rozmarzonej Julii oczekującej swego Tibulla. Uzbrojona mocą arabskich talizmanów głowa Cycerona budziła wspomnienia wolnego Rzymu i rozwijała karty Tytusa Liwiusza. Młody człowiek ujrzał oto *Senatus populusque romanus*⁴: konsul, liktorzy, togi obramione purpurą, walki na Forum, gniewny lud przesuwający się z wolna przed nim niby mgliste obrazy sennie. Wreszcie Rzym chrześcijański zapanował nad tymi obrazami. Pędzel malarza otworzył mu niebo; widział w nim Maryję-dziewicę w chmurze ze złota, na łonie aniołów, zaćmiewającą przepych słońca, słuchającą skarg nieszczęśliwych, do których ta odrodzona Ewa uśmiechała się łagodnie. Dotykając mozaiki wykonanej z rozmaitych ław Wezuwiusza i Etny, dusza jego ulatywała ku gorącym i dzikim Włochom; brał udział w ucztach Borgii biegł w Abruzzi, pożądał miłości włoskiej, palił się do białych twarzy o podługnych czarnych oczach. Drżał na myśl o nocnej schadzce przerwanej zimną szpadą męża, oglądając średniowieczny sztylet, którego rękojeść rzeźbiona jest jak koronka, a na którym rdza podobna bywa do plam krwi. Indie i ich religie odżyły w bożyszczu ustrojonym w szpiczasty kapelusz o płaskich brzegach zdobnych dzwoneczkami, przybrany w złoto i jedwab. Obok magota mata ładna jak bajadera, która się na niej przeciągała, wydzielala jeszcze zapach sandału. Potworek chiński o skośnych oczach, krzywych ustach, powykęcanych członkach, drażnił duszę wymysłami ludu, który znudzony jednostajnością piękna znajduje niewymowne rozkosze w mnogości form szpetoty. Solniczka pochodząca z pracowni Benwenuta Cellini przeniosła go z powrotem na łono Odrodzenia, w czasy, gdy kwitły sztuki i rozpusta, gdy panujący przyglądali się dla rozrywki torturom, gdy sobory, spoczywając w objęciach nierządnic, uchwały dla prostych księży czystość. Ujrzał na koniec podboje Aleksandra; rzeźbę Pizarra w starej rusznicy; wojny religijne, rozszalałe, namiętne, okrutne, na dnie kasku. To znów dworne i lube obrazy rycerstwa wykwitły z cudnie nabijanej zbroi mediolańskiej, w której spod przyłbicy błyszczały jeszcze oczy rycerza.

⁴ *Senatus populusque romanus* (łac.) – senat i lud rzymski. [przypis edytorski]

Ten ocean mebli, wynalazków, mód, dzieł, szczątków, tworzył dlań poemat bez końca. Kształty, barwy, myśli, wszystko tu nabrało życia; ale nic nie jawiło się duszy w pełnej postaci. Poeta musiał kończyć szkic wielkiego malarza, twórcy tej olbrzymiej palety, gdzie niezliczone przypadki życia ludzkiego były rzucone bez rachuby, ze wzgardą. Ogarnawszy świat, napatrzywszy się krajom, wiekom, królestwom, młody człowiek wrócił do istnień poszczególnych. Podjął na nowo swoje wcielenia, zapuścił się w szczegóły, odpychając życie ludów jako zbyt przygniatające dla jednego człowieka.

Tu spało woskowe dziecko ocalone z gabinetu Ruyscha, a czarująca ta istota przypominała mu uciechy dzieciństwa. Drażniący widok dziewiczej przepaski jakiejś młodej mieszkanki Taiti rozplamił jego wyobraźnię, malując proste życie natury, niewinną nagość prawdziwej skromności, rozkoszne i tak wrodzone człowiekowi lenistwo, całą spokojną dolę nad brzegami chłodnego i kołyszącego do marzeń strumienia, pod drzewem bananu sypiącym bez uprawy smakowitą mannę. To znów stawał się korsarzem, stroił się w straszliwą poezję Lary, żywo obudzoną perłowymi tonami tysiąca muszel, podsyconą widokiem polipów pachnących morszczyzną, algami i huraganami Atlantyku. Zapominał o burzach morskich, podziwiając znowuż subtelne miniatury, lazurowe i złote arabeski zdobiące jakiś ręką pisany mszał. Miękko kołysany pokojowymi myślami, zanurzał się w nauce i wiedzy, pragnąc żyć sutym życiem mnichów, wolnym od zgryzot i rozkoszy; wyciągał się na tapczanie w swej celi, oglądając przez gotyckie okno łąki, lasy, winnice klasztorne. Przed jakimś Teniersem przywdziewał kaftan żołnierski lub siermięgę robotnika; pragnął nosić brudną i zadymioną czapkę Flamandów, zapijał się piwem, grał z nimi w karty i uśmiechał się do tęgiej wieśniaczki o soczystych kształtach. Trząsał się z zimna, widząc zadymkę śnieżną Mierisa, to znów bił się, patrząc na bitwę Salwatora Rosa. Pieścił dłonią tomahawk ilinojski i czuł, jak nóż Irokeza zdziera mu skórę z czaszki. Oczarowany widokiem lutni, powierzał ją dłoni kasztelanki, napawając się melodyjną romanżą i wyrażając jej swą miłość wieczorem, przy gotyckim kominku, w mroku, w którym gubiło się jej omdlałe spojrzenie. Czepiał się wszystkich radości, przeżywał wszystkie bóle, chwycił się wszystkich form istnienia, sypiąc tak hojnie swoje życie i swoje uczucia na majaki tej namacalnej i czczej zarazem natury, że łoskot własnych kroków rozbrzmiewał w jego duszy niby odległy dźwięk z innego świata, tak jak zgiełk Paryża dochodzi do wieżyc Nôtre-Dame.

Wstępując na wewnętrzne schody wiodące do sal na pierwszym piętrze, ujrzał tarcze, zbroje, rzeźbione cyboria, drewniane posągi wiszące na ścianie, stojące na każdym stopniu. Ścigany najdziwniejszymi kształtami, cudownymi tworam i mieszczącymi się na pograniczu śmierci i życia, szedł niby we śnie. Wreszcie, zatraciwszy poczucie swego istnienia, stał się jak te osobliwości: ani zupełnie martwym, ani zupełnie żywym. Kiedy wszedł do dalszych magazynów, zaczynał zapadać zmierzch; ale światło zdawało się zbędne owym lśniącym od złota i srebra bogactwom, które były tam nagromadzone. Najkosztowniejsze kaprysy marnotrawców, którzy skończyli na poddaszu, strwoniwszy wiele milionów, znajdowały się w tym rozległym bazarze ludzkiego szaleństwa. Kalamarz zapłacony setką tysięcy, a odkupiony za pięć franków leżał obok sekretnego zamku, którego cena starczyłaby niegdyś na okup dla króla. Tu rodzaj ludzki ukazywał się we wszystkich przepychach nędzy, w całej chwale swoich olbrzymich małostek. Hebanowy stół, prawdziwe cacko artysty, wyrzeźbiony wedle rysunków Jana Goujon, owoc kilku lat pracy, nabyto może w cenie drzewa na opał. Szacowne puzdra, sprzęty wykonane ręką wrózek, leżały tam niedbale porzucone.

– Wy tu macie miliony! – wykrzyknął młody człowiek, dochodząc do pokoju, który kończył niezliczony szereg komnat złożonych i rzeźbionych przez artystów ubiegłego wieku.

– Powiedz pan miliardy – odparł pyzaty chłopiec. – Ale to jeszcze nic, niech pan pójdzie na trzecie piętro, a zobaczy pan!

Nieznajomy udał się za przewodnikiem i przybył do czwartej galerii, gdzie kolejno przesuwali się przed jego zmęczonymi oczyma obrazy Poussina, wspaniałe posąg Michała Anioła, kilka uroczych krajobrazów Klaudiusza Lorrain, Gerard Dow przypominający jakąś stronicę ze Sterne'a, Rembrandty, Murille, Velasquezy ciemne i barwne jak poemat lorda Byrona; wreszcie starożytne

płaskorzeźby, rżnięte agaty, cudowne onyksy!... Słowem, były tu prace zdolne zniechęcić do pracy, nagromadzenie arcydzieł zdolne zrodzić nienawiść do sztuki i zabić wszelki entuzjazm. Przybył przed Dziewicę Rafaela, ale miał już dosyć Rafaela. Postać Corregia, która dopraszała się spojrzenia, nie uzyskała go. Bezcenna waza ze starożytnego porfiru, której okrężne rzeźby przedstawiały najucieszniej wyuzdaną z rzymskich priapei – rozkosz jakiejś Korynny – zaledwie wzbudziła uśmiech. Dławił się pod szczątkami pięćdziesięciu zmarłych wieków, chory był od tych wszystkich myśli ludzkich, zamordowany zbytkiem i sztuką, przytłoczony tymi odradzającymi się kształtami, które podobne potworom płodzonym pod jego nogami przez jakiegoś złośliwego ducha toczyły z nim walki bez końca.

Podobna w swoich kaprysach do nowoczesnej chemii, która streszcza wszelką istotność w gazie, czyż dusza nie tworzy straszliwych trucizn przez nagłe zagęszczenie swoich wzruszeń, swoich sił lub myśli? Czy wielu ludzi nie ginie od piorunującego działania jakiegoś kwasu moralnego nagle rozlanego w ich wewnętrznej istocie?

– Co zawiera ta skrzynka? – spytał, wchodząc do obszernego gabinetu, ostatniego cmentarzyska sławy, wysiłków ludzkich, oryginalności, bogactw i ukazując palcem sporą graniastą skrzynkę mahoniową, wiszącą na gwoździu na srebrnym łańcuszku.

– A, to pryncypał ma klucz – rzekł pyzaty chłopak z tajemniczą miną. – Jeżeli pan pragnie widzieć ten portret, chętnie odważę się uprzedzić pryncypała.

– Odważysz się? – rzekł młody człowiek. – Czy twój pryncypał jest księciem?

– Nie wiem, proszę pana – odparł chłopiec.

Spojrzeni na siebie przez chwilę, obaj jednako zdumieni. Wytłumaczywszy sobie twierdząco milczenie nieznajomego, chłopiec zostawił go w gabinecie.

Czy zanurzyliście się kiedy w bezmiar przestrzeni i czasu, czytając dzieła geologiczne Cuviera? Porwani jego geniuszem czy szybowaliście nad bezkresną otchłanią przeszłości, jak gdyby podtrzymywani ręką czarodzieja? Odkrywając warstwa po warstwie, pokład po pokładzie pod łomami Montmartru lub krzesanicami Uralu owe zwierzęta, których skamieniałe szczątki należą do przedpotopowych cywilizacji, dusza wzdyga się, dostrzegając miliardy lat, miliony narodów, których słaba pamięć ludzka, których niezniszczalna tradycja boska zapomniały i których popioły nagromadzone na powierzchni naszego globu tworzą owe dwie stopy ziemi dające nam chleb i kwiaty. Czy Cuvier nie jest największym poetą naszego wieku? Lord Byron oddał słowami parę duchowych wzruszeń; ale nasz nieśmiertelny przyrodnik odtworzył świat przy pomocy zbiegających kości, odbudował jak Kadmus miasta z zębów, zaludnił tysiące lasów wszystkimi tajemnicami zoologii z paru strzępów torfu, odnalazł pokolenia olbrzymów w stopie mamuta. Te postacie wstają, rosną i zapełniają krajobrazy harmonizujące z ich kolosalnymi kształtami. Jest poetą w swoich cyfrach, jest wzniosły stawiając zero obok siódemki. Ożywia nicość bez wymawiania czarodziejskich zaklęć; bada okruszynę gipsu, dostrzega w niej odcisk i krzyczy wam: „Patrzcie!”. Naraz marmury animalizują się, śmierć się ożywia, świat rozpacza się przed nami! Po niezliczonych dynastiach gigantycznych postaci, po pokoleniach ryb i klanach mięczaków, przybywa wreszcie rodzaj ludzki, zwyrodniały produkt wspaniałego typu, zniszczonego może przez Stwórcę. Rozgrzani jego ogarniającym przeszłość spojrzeniem ci w pełni ludzie zrodzeni ledwie wczoraj mogą przebyć chaos, wnieść hymn bez końca i wyobrazić sobie przeszłość świata w jakiejś wstecznej Apokalipsie. W obliczu tego przeraźliwego zmartwychwstania od głosu jednego człowieka, ta okruszyna użyczona nam w owym bezkresie bez nazwy, wspólnym wszystkim sferom, który nazywamy CZASEM, ta minuta życia budzi w nas politowanie. Przygniecenie ruinami tylu światów pytamy sami siebie, na co są nasze sławy, nasze nienawiści, nasze miłości; i czy warto przyjmować móżół życia po to, aby się stać w przyszłości niewymiernym punktem? Oderwani od teraźniejszości popadamy w martwość aż do chwili, w której wejdzie nasz lokaj i oznajmi: „Pani hrabina powiedziała, że oczekuje pana”.

Cuda, których widok ukazał młodemu człowiekowi wszystkie postacie istnienia, wprawiły duszę jego w przygnębienie, jakie rodzi się u filozofa z naukowego spojrzenia na nieznane twory.

Żywiej niż kiedykolwiek zapragnął umrzeć; osunął się na krzesło kurulne, pozwalając spojrzeniom swoim błądzić przez fantasmagorie tej panoramy przeszłości. Obrazy rozświetliły się, głowy Dziewic uśmiechnęły się doń, posągi ubarwiły się złudnym życiem. Pod osłoną mroku, wprawione w taniec gorączką, która kipiała w jego obolałym mózgu, twory te ożywiły się i zaczęły pod nim wirować. Każdy magot wykrzywił się w jego stronę; powieki osób na obrazach wpół opadły na oczy, aby im dać wypocząć. Każdy z tych kształtów zadrżał, zatrząsł się, ruszył się z miejsca, poważnie, lekko, z wdziękiem lub brutalnie, wedle swoich obyczajów, charakteru i budowy. Był to tajemniczy sabat, godny fantasmagorii oglądanych przez doktora Fausta w Brocken. Ale to zjawisko optyczne, zrodzone ze zmęczenia, z napięcia wzroku lub z igraszek zmierzchu, nie mogło przestraszyć nieznajomego. Strachy życia nie miały mocy nad duszą oswojoną ze strachami śmierci. Poddawał się nawet z jakimś drwiącym zadowoleniem kaprysom tego galwanizmu moralnego, którego czary kojarzyły się z ostatnimi myślami dającymi mu jeszcze poczucie istnienia. Cisza panowała dokoła niego tak głęboka, że niebawem zanurzył się w łagodną zadumę, której nastroje, coraz to czarniejsze, towarzyszyły, odcień po odcieniu i jak gdyby czarami, powolnemu ubytkowi światła. Znikający z nieba blask zamigotał ostatnią czerwoną smugą, walcząc przeciw nocy. Młodzieniec podniósł głowę i ujrzał zaledwie oświetlony szkielet, który pochylił gestem powątpiewania głowę z prawej strony ku lewej, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Umarli nie chcą cię jeszcze!”. Przesuwając rękę po czole, aby zeń spędzić sen, młody człowiek uczuł wyraźnie chłodny powiew, spowodowany jakby czymś kosmatym, co mu musnęło lica. Zadrżał. Równocześnie szyby odebrzmiały głuchym stukiem; pomyślał tedy, że ta chłodna pieśczoła godna tajemnic grobu pochodzi od jakiegoś nietoperza. Przez chwilę jeszcze słabe poblaski zachodu pozwoliły mu niewyraźnie rozróżniać widma, które go otaczały; po czym cała ta umarła natura utonęła we wspólnym czarnym mroku. Noc, godzina śmierci przyszła nagle. Od tej chwili upłynął pewien przeciąg czasu, przez który nie miał żadnego jasnego wrażenia rzeczy ziemskich, czy to że pogrążył się w głębokim marzeniu, czy że uległ senności spowodowanej zmęczeniem oraz natłokiem myśli szarpiących mu serce. Naraz zdało mu się, że woła go jakiś straszliwy głos: zadrżał tak, jak wówczas, gdy wśród palącego i dławiącego snu runiemy nagle w głębiny otchłani. Zamknął oczy, promienie żywego światła oślepiły go: ujrzał błyszczący w ciemności czerwony krąg, w którym stał mały staruszek, kierując nań światło lampy. Nie słyszał ani jak wchodził, ani jak mówił, ani jak się ruszał. Zjawisko to miało coś magicznego. Najbardziej nieustraszony człowiek zaskoczony w ten sposób we śnie zadrżałby może w obliczu tej postaci, wstającej jak gdyby z sąsiedniego sarkofagu. Osobliwa młodość, ożywiająca nieruchome oczy tego niby-widma, nie pozwoliła nieznajomemu uwierzyć w nadprzyrodzony charakter zjawiska; bądź co bądź, przez krótką chwilę dzielącą jego życie somnambuliczne od realnego pozostał w stanie filozoficznego wątplenia zaleconego przez Kartezjusza i przez ten czas znalazł się mimo woli pod władzą owych niewytłumaczonych halucynacji, których tajemnice odtrąca nasza pycha lub które nasza bezsilna wiedza na próżno sili się zbadać.

Wyobraźcie sobie małego, suchego i chudego staruszka ubranego w czarną, aksamitną szatę, przepasaną grubym jedwabnym sznurem. Na głowie miał aksamitną czapeczkę, również czarną; poniżej po obu stronach długie pasma siwych włosów układały się w ten sposób, iż tworzyły oprawę dla czoła. Suknia otulała ciało niby obszernym całunem, nie pozwalając dojrzeć żadnego ludzkiego kształtu, oprócz wąskiej i bladej twarzy. Gdyby nie wyschłe ramię podobne do kija nawieszonego materia, a które starzec trzymał wzniesione w górę, aby skierować na młodzieńca cały blask lampy, twarz ta wydawałaby się zawieszona w powietrzu. Siwa, kończysta broda dawała tej dziwnej postaci podobieństwo do owych żydowskich głów, które biorą za model artyści, kiedy chcą przedstawić Mojżesza. Wargi tego człowieka były tak bezkrwiste, tak wąskie, że trzeba było szczególnej baczości, aby dojrzeć linię znaczącą usta na tej bladej twarzy. Szerokie pomarszczone czoło, żółte i zapadłe policzki, nieubłagana surowość małych zielonych oczu bez rzęs i brwi, mogły zbudzić w nieznajomym wrażenie, że to ów *Ważący złoto* Gerarda Dow wyszedł ze swej ramy. Inkwizytorska przenikliwość wyrażająca się w zmarszczkach na czole i skroniach świadczyła o głębokiej wiedzy

życia. Niepodobna było oszukać tego człowieka, który miał jakby dar podchwytywania myśli na dnie najbardziej tajemniczych serc. Obyczaje wszystkich narodów świata i ich mądrości streszczały się na jego zimnej twarzy, tak jak wytwory całego świata nagromadzone były w jego zapyłonych składach. Wyczytaliście w niej jasnowidzący spokój Boga, który widzi wszystko, lub pyszną siłę człowieka, który widział wszystko. Za pomocą dwóch różnych wyrazów i w dwóch pociągnięciach pędzla malarz zrobiłby z tej twarzy piękny obraz przedwiecznego Ojca lub też drwiącą maskę Mefistofelesa; była w niej bowiem najwyższa potęga na czole i posępne szyderstwo na ustach. Miażdżąc wszystkie ludzkie cierpienia bezgraniczną mocą, człowiek ten musiał zabić ziemskie radości. Skazaniec zadrżał, odgadując, że ten stary Duch zamieszkuje sferę leżącą poza światem i żyje w niej sam, bez radości, bo nie ma już złudzeń, bez cierpień, bo nie zna już przyjemności. Starzec stał prosto, nieruchomy, niewzruszony jak gwiazda w chmurze światła. Jego zielone oczy pełne jakiejś spokojnej złośliwości zdawały się oświecać świat moralny, tak jak jego lampa oświecała ów tajemniczy gabinet.

Oto dziwne zjawisko, które zaskoczyło młodego człowieka w chwili, gdy otworzył oczy, kołysany długo myślą o śmierci i fantastycznymi obrazami. Jeżeli zdrętwiał, jakby oszołomiony, jeżeli dał się na chwilę opanować wierze godnej dziecka słuchającego niańczyńskich bajek, trzeba przypisać ten błąd owej zasłonie, jaką zaduma rozsnuła na jego życiu i myślach, przedrażnieniu podnieconych nerwów, gwałtownemu dramatowi, którego sceny napoiły go okrutną rozkoszą zawartą w kawałku opium. Wizja ta zdarzyła się w Paryżu, na *Quai Voltaire*, w XIX wieku, czyli w czasie i miejscu, w których magia powinna być niemożliwa. Nieznajomy – bliski sąsiad domu, gdzie wyzionął ducha bóg francuskiego niedowiarstwa, uczeń Gay-Lussaka i Araga, gardzący kuglarstwami ludzi dzierżących władzę – nieznajomy poddawał się bez wątpienia jedynie owemu poetyckiemu urzeczeniu, któremu dajemy się często zagarnąć, jak gdyby dla ucieczki przed ową rozpaczliwą prawdą, jak gdyby dla kuszenia potęgi Boga. Drżał tedy pod światłem starca, zgięty niewytłumaczonym poczuciem jakiejś dziwnej mocy; ale wzruszenie to było podobne owemu, jakiego doznawaliśmy wszyscy wobec Napoleona lub wobec jakiegoś wielkiego człowieka błyszczącego geniuszem i odzianego chwałą.

– Czy pan chce zobaczyć portret Chrystusa pędzla Rafaela? – rzekł uprzejmie starzec głosem, którego jasny i ostry dźwięk miał coś metalicznego.

I postawił lampę na słupie strzaskanej kolumny, tak iż cały blask padał na ciemną skrzynkę.

Słyszając te wielkie imiona, Chrystusa i Rafaela, młody człowiek uczynił mimo woli gest zaciekawienia, zapewne oczekiwany przez kupca, który pocisnął sprężynę. Natychmiast mahoniowe wieko opadło bez szelestu i odsłoniło płótno zachwyconym oczom nieznajomego. Na widok tego nieśmiertelnego dzieła zapomniał o swych majakach, o sennych urojeniach, stał się znów człowiekiem, poznał w starcu istotę z krwi i ciała, zupełnie żywą, zgola neurojoną; – odżył w rzeczywistym świecie. Tkliwa dobroć, słodka pogoda boskiej twarzy oddziaływały nań natychmiast. Jakaś spływająca z niebios woń rozproszyła piekące tortury, które paliły mu szpik. Głowa Zbawiciela świata zdawała się wynurzać z mroków czarnego tła; aureola promieni błyszczała żywym blaskiem dokoła włosów, od których biło to światło; pod czołem, pod oblekającym je ciałem czuć było wymowne przeświadczenie, które wydzielalo się z każdego rysu lotnym i wnikliwym strumieniem. Czerwone wargi głosiły przed chwilą słowa życia, a widz szukał w powietrzu ich świętego poddźwięku, żądał od ciszy uroczych przypowieści, słuchał ich w przyszłości, odnajdywał w naukach przeszłości. Ewangelia wyrażała się spokojną prostotą tych czarujących oczu, do których uciekały się znękanе dusze. Słowem, czytało się tam całą religię katolicką w słodkim i wspaniałym uśmiechu, zdającym się wyrażać tę zasadę, w której się ona streszcza: **Miłujcie się wzajem**. Obraz ten rodził w duszy modlitwę, zalecał przebaczenie, tłumiał egoizm, budził wszystkie uśpione cnoty. Posiadłszy przywilej czarów muzyki, dzieło Rafaela rzucało widza pod przemożny urok wspomnień i tryumf jego był zupełny, zapominało się malarza. Czar światła potęgował jeszcze ten cud: chwilami zdawało się, że głowa porusza się w oddali, na tle jakiejś chmury.

– Pokryłem to płótno sztukami złota – rzekł zimno kupiec.

– A więc trzeba będzie umrzeć! – wykrzyknął młody człowiek, budząc się z zadumy, której ostatnia myśl przywiodła go z powrotem do jego nieszczęsnej doli, odciągając go mocą niepochwytanych wniosków od ostatniej nadziei, której się czepił.

– A! Miałem tedy słuszość, żem ci nie ufał! – odparł starzec, chwytając obie ręce młodego człowieka i ściskając je za garście w jednej swojej dłoni jak w kleszczach.

Nieznajomy uśmiechnął się smutnie z tej omyłki i rzekł łagodnie:

– Och, panie, niech się pan niczego nie lęka; chodzi o moje życie, nie o pańskie... Czemu nie miałbym się przyznać do niewinnego podstępu? – dodał, objawszy wzrokiem niespokojnego starca. – Czekając nocy, aby się móc utopić bez zbiegowiska, przyszedłem obejrzyć pańskie skarby. Któż by nie wybaczył tej ostatniej przyjemności uczonemu i poecie?

Słuchając tych słów, podejrzliwy kupiec zmierzył bystrym okiem posępną twarz rzekomego klienta. Uspokojony rychło akcentem tego bolesnego głosu lub też czytając może w tych wybladłych rysach złowrogie losy, które niedawno przyprawiły o dreszcz graczy, puścił mu ręce; ale przez resztkę podejrzliwości świadczącej o stuletnim niemal doświadczeniu, wyciągnął niedbale ramię w stronę stołu, jak gdyby chcąc się oprzeć, po czym, biorąc zeń sztylet, rzekł:

– Czy jesteś od trzech lat nadetatowym urzędnikiem, daremnie czekającym gratyfikacji?

Nieznajomy, czyniąc gest przeczący, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

– Czy ojciec twój zbyt żywo ci wyrzucał twoje przyjście na świat? Lub też czyś się zhańbił?

– Gdybym chciał się zhańbić, mógłbym żyć!

– Czy cię wygwizdano w *Funambules*? Lub też jesteś zniewolony kleić kuplety, aby opłacić pogrzeb kochanki? A może cierpisz na chorobę złota? Chcesz zabić nudę? Słowem, co za omyłka pcha cię do śmierci?

– Niech pan nie szuka przyczyn mojej śmierci w pospolitych racjach, które powodują większość samobójstw. Aby sobie oszczędzić odsłaniania cierpień niesłychanych i trudnych do wyrażenia w ludzkim języku, powiem panu, że znajduję się w najgłębszej, najplugawszej, najdokuczliwszej nędzy. I – dodał tonem, którego zuchwała duma przeczyła poprzednim słowom – nie chcę żebrać ani pomocy, ani pociechy.

– Ho, ho!

Te dwie zgłoski, które zrazu były jedyną odpowiedzią starca, przypominały skrzek grzechotki. Po czym dodał:

– Nie zmuszając cię, abyś mnie błagał, nie każąc ci się rumienić i nie dając ci ani francuskiego centyma, ani lewantyńskiego para, ani sycylijskiego tarena, ani niemieckiego halerza, ani rosyjskiej kopiejki, ani szkockiego fartinga, ani też ani jednej sestercji lub obola starego świata i piastra nowego, nie ofiarując ci nic a nic w złocie, srebrze, miedzi, papierze, obliżu, chcę cię uczynić bogatszym, potężniejszym i bardziej szanowanym od konstytucyjnego króla.

Młody człowiek sądził, że starzec jest zdzieciniały; stał w odrętwieniu, nie śmiejąc odpowiedzieć.

– Odwróć się – rzekł kupiec, ujmując nagle lampę, aby skierować jej światło na ścianę naprzeciw portretu – i spójrz na ten JASZCZUR.

Młody człowiek powstał nagle i uczynił gest zdumienia, widząc nad krzesłem, na którym siedział, zawieszony na ścianie kawał **jaszczuru** o rozmiarach nie większych niż skóra lisa; ale jakąś mocą zrazu niewytłumaczoną skóra ta rzucała wśród ciemności panującej w sklepie promienie tak jasne, iż rzeklibyście mały kometa. Młody niedowiarek zbliżył się do owego rzekomego talizmanu, mającego go chronić od nieszczęścia; drwiąca myśl zaświtała w jego głowie. Mimo to, wiedziony ciekawością, pochylił się, aby obejrzyć skórę ze wszystkich stron i odkrył niebawem naturalną przyczynę tego świetlnego fenomenu. Czarne ziarna jaszczuru były tak starannie wypolerowane i poczernione, kapryśne bruzdki były tak schludne i czyste, iż, podobne ściankom granatu, nierówności tej wschodniej skóry tworzyły tyleż małych ognisk żywo odbijających światło. Gość wykazał matematycznie mechanizm tego zjawiska starcowi, który za całą odpowiedź

uśmiechnął się złośliwie. Ten uśmiech wyższości obudził w młodym uczonym podejrzenie, że jest w tej chwili ofiarą jakiegoś kuglarstwa. Nie chcąc unosić do grobu jednej zagadki więcej, odwrócił żywo skórę, niby dziecko pragnące poznać tajemnice swej nowej zabawki.

– Ho, ho! – wykrzyknął. – Oto odcisk pieczęci, którą mieszkańcy Wschodu nazywają pieczęcią Salomona.

– Znasz ją tedy? – spytał kupiec, wypuszczając przez nozdrza kłęb powietrza, wyrażający więcej myśli, niżby ich można było wyrazić najenergiczniejszymi słowy.

– Czy istnieje na świecie człowiek dość naiwny, aby wierzyć w te baśnie? – wykrzyknął młody człowiek podniecony tym niemym i pełnym dotkliwego szyderstwa śmiechem. – Czy pan nie wie – dodał – że zabobony Wschodu uświęciły mistyczną formę oraz kłamliwe znamiona tego godła przedstawiającego bajeczną władzę? Nie sądzę, abym w danej okoliczności bardziej zasługiwał na pośmiewisko, niż gdybym mówił o sfinksach lub gryfach, których istnienie jest poniekąd mitologicznie przyjęte.

– Skoro jesteś orientalistą – odparł starzec – może przeczytasz tę sentencję.

Zbliżył lampę do talizmanu, który młody człowiek trzymał lewą stroną, i ukazał mu głoski odcisnięte w tkance tej cudownej skóry, tak jak gdyby były wytworem zwierzęcia, do którego należała ona niegdyś.

– Wyznaję – wykrzyknął nieznajomy – że nie domyślam się sposobu, jakim się posłużono, aby wyryć tak głęboko te litery na skórze onagra.

I odwracając się żywo ku stołom zarzuconym osobliwościami, zdawał się szukać czegoś wzrokiem.

– Czego chcesz? – spytał starzec.

– Narzędzia, aby przeciąć ten jaszczur dla zbadania, czy litery są odcisnięte czy inkrustowane.

Starzec podał swój sztylet nieznajomemu, który go wziął i próbował naciąć skórę w miejscu, gdzie były wypisane słowa; ale kiedy zdjął lekką warstwę skóry, litery ukazały się tak wyraźnie i tak tożsame z tymi, które były na powierzchni, iż przez chwilę zdawało mu się, że nic nie tknął.

– Przemysł lewantyński ma swoje tajemnice, które w istocie przynależą tylko jemu – rzekł, patrząc na wschodnią sentencję z pewnym niepokojem.

– Tak – odparł starzec – lepiej to złożyć na ludzi niż na Boga!

Tajemnicze słowa były rozmieszczone w następujący sposób⁵:

Co znaczyło:

JEŚLI MNIE POSIĄDZIESZ, POSIĄDZIESZ WSZYSTKO,

ALE TWOJE ŻYCIE BĘDZIE NALEŻAŁO DO MNIE.

BÓG TAK CHCIAŁ, PRAGNIJ, A TWOJE

PRAGNIENIA BĘDĄ SPEŁNIONE, ALE

MIARKUJ SWE PRAGNIENIA WEDLE

SWEGO ŻYCIA, ONO JEST TU.

ZA KAŻDYM PRAGNIENIEM

SKURCZĘ SIĘ JAK TWE

DNI. CHCESZ MNIE?

BIERZ. BÓG CIĘ

WYSŁUCHA,

NIECH SIĘ

STANIE!

– A! Ty czytasz biegle sanskryt – rzekł starzec. – Czyś może bywał w Persji albo w Bengalu?

⁵ Tajemnicze słowa (...) – w źródle w tym miejscu umieszczono napis alfabetem arabskim. [przypis edytorski]

– Nie, panie – odparł młodzieniec, macając z ciekawością tę symboliczną skórę, sztywną niby kawał blachy.

Stary kupiec postawił lampę z powrotem na kolumnie, rzucając młodemu człowiekowi nabrzmiałe zimną ironią spojrzenie, które zdawało się mówić: „Nie myśli już o śmierci”.

– Czy to żart? Czy tajemnica? – spytał młody nieznajomy.

Starzec potrząsnął głową i rzekł poważnie:

– Nie umiem ci odpowiedzieć. Ofiarowałem straszliwą władzę, którą daje ten talizman, ludziom obdarzonym większą podobno energią niż twoja; ale, mimo iż drwiąc sobie z wątpliwego wpływu, jakie miał wyrzucić na ich przyszłe losy, żaden nie chciał się ważyć na zawarcie umowy tak złowrogo podsuwanej przez nieznaną potęgę. Ja myślę w tym jak oni, wątpiłem, wzdragałem się i...

– Nie spróbował pan nawet? – przerwał młody człowiek.

– Spróbować! – odparł starzec. – Czy gdybyś się znalazł na kolumnie na placu Vendôme, spróbowałbyś się rzucić w powietrze? Czy można zatrzymać bieg życia? Czy człowiek zdołał kiedy przepołować śmierć? Zanim wszedłeś do tego gabinetu, postanowiłeś odebrać sobie życie; i ot, naraz zaprzęta cię jakiś sekret i odrywa cię od śmierci. Dziecko! Czy każdy twój dzień nie nastreczy ci bardziej zajmujących zagadek? Posłuchaj mnie. Widziałem rozwiązły dwór regenta. Jak ty byłem wówczas w nędzy, zebrałem chleba; mimo to dożyłem stu dwu lat i zostałem milionerem; nieszczęście dało mi majątek, niewiedza oświeciła mnie. Odsłonię ci w kilku słowach wielką tajemnicę ludzkiego życia. Człowiek zużywa się przez dwa instynktownie spełniane akty, które wyczerpują źródła jego istnienia. Dwa słowa wyrażają wszelką formę, którą oblekają owe dwie przyczyny śmierci: **CHCIEĆ** i **MÓC**. Między tymi dwoma kresami ludzkiej czynności istnieje inna forma, którą obierają mędrcy, i jej to zawdzięczam moje szczęście i moją długowieczność. **Chcieć** spala nas, a **móc** niszczy; ale **WIEDZIEĆ** zostawia nasz wątły ustrój w stanie trwałego spokoju. Toteż pragnienie czyli chcenie umarło we mnie zabite przez myśl; ruch czyli moc rozplynęła się w naturalnej czynności moich organów. Krótko mówiąc, pomieściłem moje życie nie w sercu, które się kruszy, nie w zmysłach, które się ścierają, ale w mózgu, który się nie zużywa i który przeżywa wszystko. Żadne nadmierne wzruszenie nie uraziło mej duszy ani mego ciała. A jednak widziałem cały świat. Stopy moje zdeptały najwyższe góry Azji i Ameryki, nauczyłem się wszystkich ludzkich języków i żyłem pod wszelakim rządem. Pożyczałem pieniędzy Chińczykowi, biorąc w zastaw ciało ojca; spałem pod namiotem Araba na wiarę jego słowa; podpisywałem kontrakty we wszystkich stolicach Europy i zostawiałem bez obawy moje złoto w wigwamie dzikiego; krótko mówiąc, osiągnąłem wszystko, ponieważ umiałem wszystkim gardzić. Moją jedyną ambicją było widzieć. Widzieć, czy nie znaczy wiedzieć? ... Och! wiedzieć, młodzieńcze, czy nie znaczy używać mocą intuicji? Czyż nie znaczy odkryć samą istotę faktu i posiąść jej treść? Co zostaje z posiadania materialnego? Myśl. Osądź tedy, jak pięknym musi być życie człowieka, który mając moc wyciśnięcia w swej myśli wszystkich realności, przenosi w swoją duszę źródła szczęścia, dobywa z nich tysiąc idealnych rozkoszy oczyszczonych z ziemskiego kału. Myśl jest kluczem wszystkich skarbów, dostarcza rozkoszy skąpca, nie dając jego trosk. Toteż unosiłem się ponad światem, gdzie moje przyjemności były zawsze rozkoszami intelektu. Moją rozpustą było oglądanie mórz, ludów, lasów i gór! Wszystko widziałem, ale spokojnie, bez zmęczenia; nigdy niczego nie pragnąłem, wszystkiego oczekiwałem. Przechadzałem się we wszechświecie niby w parku, który do mnie należał. To, co ludzie nazywają troską, miłością, ambicją, klęską i smutkiem, to są dla mnie idee, które zmieniam w marzenia; zamiast je czuć, ja je wyrażam, tłumaczę; zamiast dać im pożreć moje życie, ja je dramatyzuję, rozwijam; bawię się nimi niby powieściami, które bym czytał mocą wewnętrznej wizji. Nie znużywszy nigdy moich narządów, cieszę się jeszcze krzepkim zdrowiem. Ponieważ dusza moja odziedziczyła całą siłę, której nie nadużywałem, ta głowa jest jeszcze lepiej umeblowana niż moje magazyny. Tu – rzekł, uderzając się w czoło – są prawdziwe miliony. Spędzam rozkoszne dni, obracając inteligentne spojrzenia w przeszłość; wskrzeszam całe kraje, krajobrazy, widoki oceanu, wspaniałe postacie historyczne! Mam urojony seraj, gdzie posiadam wszystkie kobiety, które do mnie nie należały. Oglądam często wasze

wojny, wasze rewolucje i sędzę je. Och! jak można przekładać gorączkowe i przelotne zachwyty wzbudzone kawałkiem jasnej lub ciemnej skóry, widokiem mniej lub więcej krągłych kształtów; jak można przekładać wszystkie klęski twojej omamionej woli nad szczytną zdolność wywoływania w sobie wszechświata, nad olbrzymią rozkosz poruszania się bez skrępowania więzami czasu ani zaporami przestrzeni, nad rozkosz ogarniania w sobie wszystkiego, widzenia wszystkiego, nachylania się nad krańcami świata, aby zgłębiać inne sfery, aby słuchać Boga? Oto – rzekł grzmiącym głosem, ukazując jaszczur – zjednoczone **Móć** i **Chcieć**. Tu są wasze pojęcia społeczne; wasze nadmierne pragnienia, wasze wybryki, wasze rozkosze, które zabijają, wasze bóle, które dają nadto żyć; ból bowiem jest może tylko gwałtownym szczęściem. Kto mógłby oznaczyć punkt, w którym rozkosz staje się cierpieniem i ten, w którym cierpienie jest jeszcze rozkoszą? Czy najwyższe blaski idealnego świata nie pieczą oczu, podczas gdy najbardziej lube mroki świata fizycznego rażą go zawsze? Czy słowo rozum pochodzi od rozumieć? I co jest szaleństwo, jeśli nie nadmiar chcenia lub możliwości?

– A więc dobrze, chcę żyć bez miary! – rzekł nieznajomy, chwytając jaszczur.

– Młodzieńcze, strzeż się! – wykrzyknął starzec z nieopisaną żywością.

– Rozwiązałem moje życie przez naukę i myśl, ale nie dały mi nawet chleba – odparł nieznajomy. – Nie chcę się dać omamić ani kazaniu godnemu Swedenborga, ani pańskiemu wschodniemu amuletowi, ani miłosiernym wysiłkom, jakich pan dokłada, aby mnie zatrzymać na świecie, gdzie moje istnienie jest już niemożliwe... Tak! – dodał, ściskając talizman konwulsyjną dłonią i patrząc na starca. – Chcę obiadu iście królewskiego, chcę jakiejś bachanalii godnej wieku, który podobno udoskonalił wszystko! Niech moi biesiadnicy będą młodzi, inteligentni i bez przesądów, weseli aż do szaleństwa! Niech wina idą po sobie wciąż cięższe, wciąż bardziej musujące i niechaj mają moc upicia nas na trzy dni! Niech ta noc będzie strojna kobietami z płomienia! Chcę, aby oszalała i dziko wyjąca rozpusta poniosła nas na swoim czterokonnym rydwanie poza krańce świata i wysypała nas na nieznanach wybrzeżach! Niechaj dusze wzbijają się do nieba lub topią się w błocie, nie wiem, czy wówczas wznoszą się czy zniżają, mniejsza! Zatem nakazuję tej złowrogiej władzy, aby mi stopiła wszystkie rozkosze w jednej! Tak, czuję potrzebę objęcia rozkoszy nieba i ziemi ostatnim uśmiechem, aby w nich skonać. Toteż pragnę i starożytnych priapei po piciu i śpiewów zdolnych obudzić umarłych, i potrójnych pocałunków, pocałunków bez końca, których dźwięk przeleci nad Paryżem niby trzask pożaru, obudzi małżonków i natchnie ich palącym żarem, dając młodość wszystkim, nawet siedemdziesięciolatkom!

Wybuch śmiechu, który wydarł się z ust staruszka, rozległ się w uszach młodego człowieka niby łoskot piekieł i podzielał nań tak despotycznie, że zamilkł.

– Czy sądzisz – rzekł kupiec – że ta podłoga otworzy się nagle i że wyrosną z niej wspaniałe zastawione stoły oraz biesiadnicy z innego świata? Nie, nie, młody szaleńcze. Podpisałeś pakt, rzecz skończona. Teraz wszelkie życzenia twoje ziszczą się sumiennie, ale kosztem twego życia. Krąg twoich dni wyobrażony przez tę skórę będzie się ścieśniał zależnie od siły i liczby twych pragnień, od najłżejszego aż do najbardziej szalonego. Bramin, któremu zawdzięczam ten talizman, wytłumaczył mi, iż zachodzi tajemniczy związek między losami a pragnieniami posiadacza. Pierwsze twoje życzenie jest pospolite, mógłbym je urzeczywistnić; ale zostawię troskę o to kolejom twego nowego istnienia. Ostatecznie chciałeś umrzeć? Otóż, twoje samobójstwo opóźni się tylko.

Nieznajomy, zdziwiony i niemal podrażniony, iż wciąż jest przedmiotem żartów tego szczególnego starca, którego na wpół filantropijne intencje przebiły jasno w tym ostatnim szyderstwie, wykrzyknął:

– Przekonam się, mój panie, czy dola moja odmieni się, nim przejdę wszerz wybrzeże. Ale jeżeli sobie drwisz z nieszczęśliwego, pragnę, aby się zemścił za tę złą usługę, abyś się zakochał w tancerce! Zrozumiesz wówczas szczęście rozpusty i może staniesz się rozrzutniejszym wszystkimi dobrami, któreś tak filozoficznie oszczędzał.

Wyszedł, nie słysząc głębokiego westchnienia starca, przebiegł sale i zeszedł po schodach w towarzystwie pyzatego chłopca, który na próżno chciał mu świecić; biegł z chyżością zbrodniarza

złapanego na gorącym uczynku. Oślepiiony jakimś szalem, nie zauważył nawet zadziwiającej podatności jaszczuru, który stawszy się miękki jak rękawiczka, zwinął się w jego drżących palcach, tak iż mógł go machinalnie wsunąć w kieszeń. Wypadając ze sklepu na ulicę, potracił trzech młodych ludzi, którzy szli trzymając się pod rękę.

– Bydlę!

– Bałwan!

Oto uprzejme wykrzykniki, które wymieniono.

– Och! To Rafael!

– To ty! Szukamy cię właśnie.

– Jak to! To wy?

Te trzy przyjacielskie zdania nastąpiły po obelgach, skoro tylko światło kołysanej wiatrem latarni oświeciło twarzę zdziwionej gromadki.

– Mój drogi chłopcze – rzekł do Rafaela młody człowiek, który go omal nie przewrócił – musisz iść z nami.

– Ale o co chodzi?

– Wal z nami, po drodze ci opowiem.

Po woli czy po niewoli, przyjaciele otoczyli Rafaela i uwięziwszy go w wesołym kole, pociągnęli go ku mostowi *des Arts*.

– Mój drogi – ciągnął mówca – gonimy za tobą blisko od tygodnia. W czcigodnym hotelu *Saint-Quentin* (którego niewzruszone godło błyszczy wciąż, nawiasem mówiąc, głoskami na przemian czarnymi i czerwonymi jak za czasów Jana Jakuba Rousseau) Leonarda twoja oznajmiła nam, żeś pojechał na wieś; mimo że z pewnością nie wyglądaliśmy na służalców pieniądza, komorników, wierzycieli, policję, woźnych etc. Mniejsza! Rastignac widział cię poprzedniego dnia w *Bouffes*, nabraliśmy tedy otuchy i pomieściliśmy punkt honoru w tym, aby odkryć, czy gnieźdźsisz się na drzewie na Polach Elizejskich, czy nocujesz za dwa su w owych filantropijnych domach, gdzie żebracy śpią wsparci na rozpiętych sznurach; lub też czy szczęśliwym losem nie rozbiłeś biwaków w jakim buduarze. Nie znaleźliśmy cię nigdzie, ani w rejestrach św. Pelagii, ani w rejestrach *La Force*! Ministeria, Opera, zacisza klasztorne, kawiarnie, biblioteki, listy prefektury, biura dzienników, restauracje, teatry, krótko mówiąc, wszystkie mniej więcej zaszczytne przybytki Paryża, wszystko przetrząsnęliśmy gruntownie, biadając nad stratą człowieka dość bogato obdarzonego przez naturę, aby go można było szukać zarówno na Dworze jak w więzieniu. Chcieliśmy cię już kanonizować jako bohatera Dni Lipcowych i, na honor, żałowaliśmy cię.

W tej chwili Rafael przechodził z przyjaciółmi przez most *des Arts*; słuchając, patrzył na Sekwanę, której szumiące wody odbijały światła Paryża. Ponad tą rzeką, w którą chciał rzucić się niedawno, przepowiednie starca spełniły się, godzina śmierci już się nieodzownie oddaliła.

– I żałowaliśmy cię szczerze! – podjął przyjaciel, prowadząc dalej swój wywód. – Chodzi o kombinację, w której liczyliśmy na ciebie, mając cię za człowieka wyższego, to znaczy człowieka umiającego wznieść się ponad wszystko. Eskamotaż kulki konstytucyjnej pod królewskim kubkiem odbywa się dziś, mój drogi, z większą pasją niż kiedykolwiek. Bezecna monarchia obalona przez heroizm ludu to była ladacznica, z którą można było pośmiać się i popić; ale ojczyzna to cnotliwa i kwaśna małżonka; trzebaż nam przyjąć, z wolą czy bez woli, jej stateczne karesy! Otóż władza przeniosła się, jak ci wiadomo, z Tuileries do dzienników, tak samo jak budżet zmienił siedzibę, przechodząc z dzielnicy Saint-Germain na *Chaussée d'Antin*⁶. Ale oto czego może nie wiesz! Rząd, to znaczy arystokracja bankierów i adwokatów, którzy robią dziś ojczyznę, tak jak niegdyś księża robili monarchię, uczuł potrzebę zmistyfikowania pocziwego ludku francuskiego nowymi słowami a starymi myślami, na wzór filozofów wszystkich szkół i wszystkich epok. Chodzi tedy o to, aby

⁶ budżet zmienił siedzibę, przechodząc z dzielnicy Saint-Germain na *Chaussée d'Antin* – Saint-Germain, dzielnica arystokratyczna; *Chaussée d'Antin*, mieszczańsko-plutokratyczna (Przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

nam zaszczepić przekonania królewsko-narodowe, dowodząc, że jest się o wiele szczęśliwszym, płacąc tysiąc dwieście milionów trzydzieści trzy centymy ojczyźnie reprezentowanej przez pp. X, Y i Z, niż tysiąc sto milionów dziewięć centymów królowi, który mówił **ja** zamiast **my**. Słowem, założono dziennik zbrojny w dwieście lub trzysta tysięcy franiów w celu prowadzenia opozycji, która by zadowoliła niezadowolonych, nie szkodząc narodowemu rządowi króla obywatela. Otóż, my sobie drwimy z wolności równie dobrze jak z despotyzmu, z religii równie dobrze jak z niedowiarstwa. Ojczyzna dla nas to stolica, gdzie myśli wymienia się i sprzedaje po tyle a tyle od wiersza; gdzie każdy dzień przynosi smaczny obiadek i liczne widowiska; gdzie roi się od rozwiązłych kobiet, a miłość najmuje się na godziny jak dorożkę!... Tak, Paryż będzie zawsze ze wszystkich ojczyzn najbardziej urocza! Ojczyzną radości, swobody, dowcipu, ładnych kobiet, miłych urwisów, dobrych win, gdzie kij władzy nigdy nie da się zaudać, ponieważ jest się blisko tych, którzy go dzierżą!... Zatem, my, prawdziwi wyznawcy boga Mefistofelesa, podjęliśmy się wybielić opinię publiczną, poprzebierać aktorów, obić nowymi deskami rządową budę, dać na przeczyszczenie teoretykom, przegotować starych republikanów, odlakierować bonapartystów i odżywić **centrum**, byle nam wolno było śmiać się *in petto* z królów i narodów, gwizdać wieczorem na naszą opinię poranną i pędzić wesołe życie Panurgowe, czyli *more orientali*, leżąc na miękkich poduszkach. Przeznaczaliśmy ci lejce tego makaronicznego i ucielnego królestwa; toteż zabieramy cię z miejsca na obiad, wydany przez założyciela rzeczzonego dziennika, eks-bankiera, który nie wiedząc, co począć ze swym złotem, chce je rozmiąć na inteligencję. Będiesz tam przyjęty jak brat, powitamy w tobie króla owych niepodległych duchów, których nic nie przeraża, których bystrość odkrywa intencje Austrii, Anglii lub Rosji, zanim Rosja, Anglia lub Austria powzięły jakie intencje! Tak, uczynimy cię władcą owych inteligentnych potęg, które dają światu takich Mirabeau, Talleyrandów, Pittów, Metternichów, słowem wszystkich przemyślnych Kryspinów grających między sobą o losy państw, tak jak pospolicie ludzie grają o kieliszek kirszu w domino. Zapowiedzieliśmy cię jako najbardziej nieustraszonego kompana, jaki kiedykolwiek mocował się z rozpustą, owym wspaniałym potworem, z którym żądają walczyć wszyscy ludzie silni; okrzyknęliśmy nawet, że ten potwór jeszcze cię nie zmógł. Mam nadzieję, że nie zadasz kłamu naszym pochwałom. Taillefer, nasz amfitrion, przyrzekł nam zakasować mizerne saturnalia naszych nowoczesnych Lukullusików. Jest dość bogaty, aby dać wielkość drobiazgom, wykwin i wdzięk rozpuścić... Słyszysz, Rafaelu? – rzekł mówca, zatrzymując się na chwilę.

– Tak – odparł młody człowiek mniej zdumiony ziszczeniem swych pragnień niż zdziwiony naturalnym sposobem, w jaki wiążą się z sobą wypadki.

Mimo iż niepodobna mu było uwierzyć w czarnoksiężskie wpływy, zdjął go podziw dla przypadków doli ludzkiej.

– Ale ty mówisz „tak” takim tonem, jakbyś myślał o śmierci swego dziadka – rzekł jeden z młodych ludzi.

– Ach! – rzekł Rafael z akcentem naiwności, który rozśmieszył tych pisarzy, nadzieję młodej Francji – myślałem, moi przyjaciele, że oto bliscy jesteście zostania tęgimi łotrykami! Dotąd gadaliśmy bezceństwa przy kieliszku, wazyliśmy życie po pijanemu, szacowaliśmy ludzi i wypadki trawiać obiadek. Niewinni w czynie, byliśmy zuchwali w słowie; ale obecnie, napiętnowani rozpalonym żelazem polityki, wejdziemy do tej wielkiej kaźni i stracimy tam nasze złudzenia. Kiedy się wierzy już tylko w diabła, wolno jest żałować raju młodości, czasu niewinności, kiedy otwieraliśmy pobożnie usta, aby przyjąć z rąk dobrego księdza święte ciało naszego Zbawiciela. Ach! moi drodzy przyjaciele, jeżeli pierwsze nasze grzechy dawały nam tyle przyjemności, to dlatego, że wyrzuty sumienia stroiły je wdziękiem, dodawały im soli i pieprzu; gdy teraz...

– Och, teraz – odpowiedział jeden z kompanów – zostaje nam...

– Co? – spytał drugi.

– Zbrodnia...

– Oto słowo, które ma całą wysokość szubienicy i całą głębię Sekwany – odpowiedział Rafael.

– Och, nie rozumiesz mnie... Mówię o zbrodniach politycznych. Od dziś dnia zazdroszczę tylko jednego życia: życia spiskowców. Jutro nie wiem, czy mój kaprys przetrwa jeszcze; ale dziś wieczór mdłe życie naszej cywilizacji, jednostajne jak szyny kolei żelaznej, przyprawia mnie o nudności! Jestem rozkochany w niedolach odwrotu spod Moskwy, we wzruszeniach *Czerwonego Korsarza* i w życiu przemytników. Skoro nie ma już kartuzów we Francji, pragnąłbym co najmniej Botany-Bay, coś w rodzaju infirmerii przeznaczonej dla lordzików Byronów, którzy zmiąwszy życie niby serwetę po obiedzie, nie mają przed sobą nic, jak tylko podpalić własny kraj, strzelić sobie w łeb, spiskować przeciw republice lub domagać się wojny...

– Emilu – przerwał tamten – słowo honoru, gdyby nie rewolucja lipcowa, byłbym został księdzem, aby wegetować gdzieś na zapadłej wsi, i...

– I byłbyś codziennie czytywał brewiarz?

– Tak.

– Samochwał!

– Czytujemy przecież dzienniki!

– Wcale nieźle jak na dziennikarza! Ale siedź cicho, idziemy wśród tłumu abonentów. Dziennikarstwo, widzisz, to religia nowożytnych społeczeństw i jest postęp.

– Jaki?

– Kapłani nie są obowiązani wierzyć ani lud też nie.

Rozmawiając w ten sposób jak ludzie, którzy znają dzieło *De Viris illustribus* od wielu lat, przybyli do pałacyku przy ulicy Joubert.

Emil był to dziennikarz, który zawdzięczał więcej sławy swemu próżniactwu niż inni swoim tryumfom. Śmiały krytyk, pełen werwy i jadu, posiadał wszystkie zalety, na które pozwalały jego wady. Otwarty i wesoły, mówił w oczy tysiąc złośliwości przyjacielowi, którego poza oczy bronił odważnie i lojalnie. Drwił ze wszystkiego, nawet z własnej przyszłości. Wciąż w kłopotach pieniężnych, grzęznął jak wszyscy utalentowani ludzie w nieopisanym lenistwie, rzucając całą książkę w jednym słowie w nos ludziom, którzy nie umieli dać ani jednego słowa w swoich książkach. Szczodry w obietnice, których nie spełniał nigdy, uczynił sobie ze swej fortuny i sławy poduszkę do spania, narażając się na to, że może się obudzić na starość w szpitalu. Zresztą przyjaciel oddany w każdej potrzebie, fanfaron cynizmu i prosty, jak dziecko pracował jedynie z kaprysu lub z konieczności.

– Czekaj nas, wedle wyrażenia mistrza Alkofrybasa⁷ **barzo smakowny kęszczek** – rzekł do Rafaela, wskazując skrzynie z kwiatami napelniające schody zapachem i zielenią.

– Lubię się dobrze ogrzać i strojną bogatymi dywanami – odparł Rafael. – Zbytek od samego przedśmionka rzadki jest we Francji. Tu czuję, że odżywam.

– A tam, na górze, popijemy i pośmiejemy się jeszcze raz, mój dobry Rafaelu. A, ba – dodał – mam nadzieję, że będziemy górą i że przespacerujemy się po tych wszystkich głowach.

To mówiąc, drwiącym gestem wskazał biesiadników. Weszli do lśniącego od złocien i światel salonu, gdzie pospieszyła na ich spotkanie najwybitniejsza młodzież paryska. Jeden, talent pełen świeżości, pierwszym swoim obrazem dorównał sławom malarskim Cesarstwa. Drugi rzucił wczoraj bujną książkę, nacechowaną jak gdyby wzdargą dla literatury i wskazującą młodej szkole nowe drogi. Dalej rzeźbiarz, którego surowa twarz zdradzała krzepki talent, rozmawiał z jednym z owych zimnych szyderców, którzy wedle okoliczności to nie chcą widzieć wyższości nigdzie, to uznają ją wszędzie. Tu najdowcipniejszy z naszych karykaturzystów, ze złośliwym okiem, kąśliwymi ustami, chwycił koncepty, aby je zilustrować ołówkiem. Tam młody i śmiały pisarz, który jak nikt umiał destylować kwintesencję myśli politycznej lub też zagęszczać w żart swą płodną inteligencję, rozmawiał z owym poetą, którego utwory zmiążdżyłyby wszystkie dzieła naszej epoki, gdyby jego talent miał siłę jego nienawiści. Obaj silili się nie powiedzieć prawdy i nie skłamać, obsypując się

⁷ mistrz Alkofrybas – Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*. [przypis tłumacza]

wzajem słodkimi pochlebstwami. Sławny muzyk pocieszał w **h-mol**, drwiącym głosem młodego polityka, który spadł świeżo z trybuny, nie wyrządzając sobie szkody. Młody autor bez stylu znajdował się obok młodego autora bez myśli, pełni poezji prozaicy obok prozaicznych poetów. Widząc te niepełne istoty, biedny saintsimonista dość naiwny, aby wierzyć w swą doktrynę, skupiał je miłosierdzie, pragnąc je bez wątpienia przerobić na zakonników swojej reguły. Wreszcie było tam paru owych uczonych zaproszonych po to, aby dodać azotu rozmowie, oraz kilku wodewilistów gotowych rzucić w nią owe ulotne blaski, które, podobne iskrom diamentu, nie dają światła ani ciepła. Kilku handlarzy paradoksów, śmiejących się w kułak z ludzi przejmujących się ich zapalem lub wzgardą, uprawiało już tę obosieczną politykę, która spiskuje pod każdym systemem rządu, nie oświadczając się za żadnym. **Znawca**, z tych co to nie dziwi się niczemu, co wyciera nos podczas kawatyny w Operze, krzyczy **brawo** przed wszystkimi, a sprzecza się z tymi, którzy wyprzedzili jego zdanie, był tam również i starał się przywłaszczyć sobie cudze koncepty. Wśród tych biesiadników pięciu miało przyszłość, jakiś dziesiątek miał uzyskać strzęp przelotnej sławy; co się tyczy innych, mogli jak wszystkie miernoty powtórzyć słynne kłamstwo Ludwika XVIII: **Jedność i zapomnienie**. Amfitrion objawiał ową skłopotaną wesołość człowieka, który wydaje dwa tysiące talarów. Od czasu do czasu oczy jego zwracały się z niecierpliwością ku drzwiom, jakby przyzywając gościa, który dał na siebie czekać. Niebawem ukazał się mały, pękaty człowieczek przyjęty pochlebnym szmerem: był to rejent, który tego rana doprowadził do skutku narodziny dziennika. Czarno ubrany lokaj otworzył drzwi do obszernej jadalni, gdzie każdy bez ceremonii poszukał sobie miejsca przy ogromnym stole. Zanim opuścił salony, Rafael spojrział po nich jeszcze raz. Zaiste, pragnienie jego ziściło się zupełnie. Jedwab ze złotem wyścielał apartamenty. Bogate świeczniki dźwigające niezliczoną ilość świec dobywały blasku z najdrobniejszych szczegółów złożonych fryzów, subtelnych brązowych rzeźbień i wspaniałych barw apartamentu. Rzadkie kwiaty pomieszczone w artystycznych bambusowych żardinierach rozlewały słodkie zapachy. Wszystko aż do draperii oddychało niewymuszonym wykwintem; we wszystkim widniał jakiś poetycki wdzięk, którego czar musiał działać na wyobraźnię nędzarza.

– Sto tysięcy funtów renty, to śliczny komentarz do katechizmu, pomagający nam cudownie przejść od zasad do **akcji!** – rzekł z westchnieniem. – Och, tak! Moja cnota nie chodzi piechotą. Dla mnie występki to poddasze, to wytarte ubranie, szary kapelusz w zimie i długi u stróża... Och! Chciałbym żyć na łonie tego zbytu rok, pół roku, mniejsza! A potem umrzeć. Przynajmniej poznałbym, wyczerpałbym, pochłonałbym tysiąc istnień!

– Och! – rzekł Emil, który go słuchał – bierzesz powozik agenta giełdowego za szczęście. Ba, rychło sprzykrzyłybyś sobie majątek, widząc, że ci odbiera szanse stania się **kimś**. Pomiędzy nędzami bogactwa a bogactwami nędzy czyż artysta waha się kiedy? Czy **nam** nie trzeba zawsze walki? Toteż przygotuj swój żołądek, patrz – rzekł, pokazując mu heroicznym gestem po trzykroć święty i uspokajający widok, jaki odsłaniała jadalnia błogosławionego kapitalisty. – Ten człowiek – ciągnął Emil – zadał sobie trud zgromadzenia swoich pieniędzy jedynie dla nas. Czy to nie jest rodzaj gąbki zapomnianej przez naturalistów w gatunku polipów, którą należy delikatnie wyciskać, nim się ją pozwoli wysssać spadkobiercom? Czy nie podziwiasz stylu w tych płaskorzeźbach, które zdobią ściany? A świeczniki, a obrazy, cóż za inteligentny zbytek! Jeżeli mamy wierzyć zawistnym oraz tym, którzy siłą się badać sprężyny życia, człowiek ten zgłodził w czasie Rewolucji pewnego Niemca i kilka innych osób; mianowicie, jak mówią, swego najlepszego przyjaciela i jego matkę. Czy mógłbyś przypuścić zbrodnię pod siwiejącymi włosami tego czcigodnego Taillefera? Wygląda na bardzo pocziwego człowieka. Spójrzże, jak te srebra błyszczą: i każdy z tych lśniących promieni miałby być dla niego pchnięciem sztyletu?... Baśnie! To już lepiej uwierzmy w Mahometa. Gdyby opinia miała rację, oto trzydziestu dzielnych i utalentowanych ludzi gotuje się jeść wnętrzości i pić krew owej rodziny... a my dwaj, młodzi ludzie pełni niewinności, zapалу, bylibyśmy współnikami zbrodni! Mam ochotę zapytać naszego kapitalisty, czy jest uczciwym człowiekiem...

– Nie teraz! – wykrzyknął Rafael – ale kiedy będzie zupełnie pijany; zjemy do tego czasu obiad.

Dwaj przyjaciele zasiedli, śmiejąc się. Najpierw spojrzeniem szybszym od słowa każdy z biesiadników spłacił swój haracz podziwu wspaniałemu widokowi, jaki przedstawiał długi stół, biały jak warstwa świeżego śniegu, na którym wznosiły się symetrycznie nakrycia uwieńczone rumianymi bułeczkami. Kryształ mieniły się tęczowo w blasku światła, promienie świec krzyżowały się w nieskończoność, potrawy pomieszczone pod srebrnymi kopułami zaostbrały apetyt i ciekawość. Słowa padały dość rzadko. Sąsiedzi przyglądali się sobie wzajem. Madera zaczęła krążyć. Następnie zjawiono się pierwsze danie w całej chwale: byłoby przyniosło zaszczyt nieboszczykowi Cambaceresowi, a Brillat-Savarin byłby je wślawił. Bordo i burgund, białe i czerwone łąły się z królewską hojnością. Tę pierwszą część uczty można było porównać pod każdym względem do ekspozycji klasycznej tragedii. Drugi akt stał się nieco gadatliwy. Każdy gość popił sumiennie, zmieniając wedle ochoty napoje, tak iż w chwili, gdy usunięto resztki tego wspaniałego dania, wszczęły się burzliwe dyskusje; to i owo blade czoło zarumieniło się, ten i ów oblókł się purpurą, twarze rozplomieniły się, oczy rozbłysły. W czasie tego brzasku pijaństwa rozmowa nie wyszła jeszcze z granic uprzejmości; ale szyderstwa, koncepty padały stopniowo ze wszystkich ust; następnie potwarz podniosła łagodnie swoją węzową główkę, przemawiając słodkim głosem; tu i ówdzie, jakiś filut nadstawił ucha, mając nadzieję zachowania przytomności. Przy drugim daniu mózgi były już zupełnie rozpalone. Wszyscy jedli mówiąc, mówili jedząc, pili, nie zważając na nadmiar wchłanianych płynów, tak były klarowne i pachnące, tak przykład był zaraźliwy. Taillefer silił się zagrzewać gości, kazał podać zdradzieckie wina rodąńskie, gorący tokaj, stare mocne Rusylony. Rozpędzeni jak konie pocztowe ruszające ze stacji biesiadnicy, smagani iskierkami wina szampańskiego, niecierpliwie oczekiwanego, ale lanego obficie, pozwolili myśli swojej galopować w próżnię owych wywodów, których nikt nie słucha, zaczęli opowiadać owe historie, które nie znajdują uszu, podejmowali po sto razy owe pytania, które zostają bez odpowiedzi. Jedna Orgia rozwinęła swój wielki głos, swój głos złożony ze stu zmieszanych hałasów, rosnących jak owe *crescenda* u Rossiniego. Potem przyszły obłudne toasty, przechwałki, wyzwania. Wszyscy wyrzekli się chwalby swojej pojemności intelektualnej, aby iść o lepsze z pojemnością beczki, kufy, kadzi. Rzekłbyś, iż każdy ma dwa głosy. Przyszła chwila, w której panowie mówili wszyscy naraz, a służący uśmiechali się. Ale ten zamęt słów, w którym dość mgliste paradoksy, pocieszenie odziane prawdy zderzały się poprzez krzyki, poprzez nawiasem rzucane sądy, stanowcze wyroki oraz błazeństwa, jak wśród walki krzyżują się kule, granaty, pociski, byłby z pewnością zainteresował jakiegoś filozofa niezwykłością myśli lub zdumiałby polityka dziwactwem poglądów. Były to równocześnie książka i obraz. Filozofie, religie, pojęcia moralne, tak różne zależnie od szerokości geograficznej, rządy, słowem wszystkie wielkie dzieła ludzkiej inteligencji, padły pod kosą równie długą jak kosa Czasu i może z trudem przysłoby wam rozstrzygnąć, czy władza nią pijana Mądrość czy też Pijaństwo, które się stało mądre i jasnowidzące. Jak gdyby ponoszone burzą mózgi te, niby morze rozdłusane na swoje brzegi, chciały, zdawałoby się, wstrząsnąć wszystkie prawa, między którymi unoszą się cywilizacje, spełniając w ten sposób bezwiednie wolę Boga, który zostawił w naturze dobro i zło, zachowując dla siebie samego tajemnicę ich nieustannej walki. Ta zajadła i ucieszna dyskusja była poniekąd sabatem inteligencji. Między smutnymi konceptami, jakie sypały te dzieci Rewolucji przy narodzinach dziennika, a pogwarkami wesołych pijaków przy narodzinach Gargantui była cała przepaść, jaka dzieli wiek dziewiętnasty od szesnastego. Tamten przygotowywał zniszczenie śmiejąc się, nasz śmiał się pośród ruin.

– Jak wy wołacie tego młodego człowieka, który tam siedzi? – spytał rejent, wskazując Rafaela.
– Zdaje mi się, że go nazywają Valentin.

– Też się pan wybrał ze swoim **Valentin!** – wykrzyknął, śmiejąc się, Emil. – Rafael **de Valentin**, jeżeli łaska. Mamy w herbie **złotego orła w czarnym polu, ze srebrną koroną, dziób i pazury czerwone**, z tym pięknym godłem; **NON CECIDIT ANIMUS!** Nie jesteśmy żadnym znajdą, ale pochodzimy od cesarza Valensa, praszczura rodu Valentinois, założyciela miast Walencji w Hiszpanii

i we Francji, prawego dziedzica cesarstwa Wschodu. Jeżeli pozwalamy królować Mahmudowi w Konstantynopolu, to wyłącznie z dobrej woli oraz dla braku pieniędzy i żołnierzy.

Emil nakreślił widelcem w powietrzu koronę nad głowę Rafaela. Rejent zastanowił się przez chwilę, po czym zaczął dalej pić. Czyniąc gest, którym wyrażał, iż niepodobna mu wcielić do swej klienteli miasta Walencji, Konstantynopola, Mahmuda, cesarza Walensa i rodu Valentinois.

– Zniszczenie owych mrowisk zwanych Babilonem, Tyrem, Kartaginą lub Wenecją, wciąż miażdżonych stopą przechodzącego olbrzyma, czyż nie jest ostrzeżeniem danym człowiekowi przez szyderczą potęgę? – rzekł Klaudiusz Vignon, coś w rodzaju niewolnika, zakupionego, iżby „odstawiał” Bossueta po pół franka od wiersza.

– Mojżesz, Sylla, Ludwik XIV, Richelieu, Robespierre i Napoleon to może jeden i ten sam człowiek, który wędruje przez cywilizację niby kometa po niebie! – odparł ballanszysta.

– Po co zgłębiać drogi Opatrzności? – rzekł Canalis, fabrykant ballad.

– Oho, jest już Opatrzność! – wykrzyknął sceptyk, przerywając. – Nie znam w świecie nic bardziej elastycznego.

– Ależ, drogi panie, Ludwik XIV wytracił więcej ludzi, aby założyć wodociągi w Maintenon, niż konwent, aby sprawiedliwie rozłożyć podatki, zaprowadzić jedność prawa, unarodowić Francję i ustanowić równy podział dziedzictwa – powiadał Massol, młody człowiek, który dla braku zgłoseczki *de* przed nazwiskiem został republikaninem.

– Panie – odparł Moreau (z departamentu Oise) godny właściciel ziemski – pan, który bierzesz krew za wino, czy tym razem zostawisz nam głowy na karku?

– Po co, drogi panie? Czy zasady porządku społecznego nie są warte jakichś ofiar?

– Bixiou! Słuchaj no! Imć republikanin twierdzi, że głowa tego szlagona byłaby ofiarą? – rzekł jakiś młody człowiek do sąsiada.

– Ludzie i wypadki są niczym – powiadał republikanin, wywodząc dalej swą teorię wśród czkawki – w polityce i filozofii istnieją jedynie zasady i idee.

– Cóż za okropność! Nie sprawiłoby panu żadnej przykrości zabijać swoich przyjaciół dla prostej hipotezy?

– Ba! Mój panie, człowiek, który ma wyrzuty, jest prawdziwym zbrodniarzem, bo ma jakieś pojęcie o cnocie; podczas gdy Piotr Wielki, książę Alba to były systemy, a korsarz Monbard był całą organizacją.

– Ale czy społeczeństwo nie mogłoby się obejść bez waszych systemów i organizacji? – spytał Canalis.

– Och! Zgoda – rzekł republikanin.

– Ech! Wasza idiotyczna republika przyprawia mnie o mdłości! Nie można spokojnie pokrajać kapłona, żeby się w nim nie natknąć na prawo agrarne.

– Twoje zasady są doskonałe, mój Brutusiku nadziany truflami. Ale przypominasz mi mego lokaja; hultaj ma taką manię czystości, że gdybym mu pozwolił szcztokować ubranie do skutku, chodziłbym nago.

– Jesteście głupcy! Chcecie oczyścić naród wykałaczką – odparł amator republiki. – Wedle was sprawiedliwość byłaby niebezpieczniejsza niż złodzieje.

– He, he – rzekł adwokat Desroches.

– Jacyż oni nudni z tą polityką! – rzekł rejent Cardot. – Zamknijcie drzwi. Nie ma wiedzy ani cnoty, które byłyby warte jednej kropli krwi. Gdybyśmy chcieli przeprowadzić likwidację prawdy, okazałaby się może bankrutem.

– Och! Z pewnością taniej by nam wypadło bawić się w złu, niż kłócić się o dobre. Toteż oddałbym wszystkie mowy wygłaszane na trybunie od czterdziestu lat za pstrąga, za powiastkę Perraulta lub szkic Charleta.

– Masz pan słuszość!... Podaj mi szparagi... Ostatecznie bowiem, wolność rodzi anarchię, anarchia wiedzie do despotyzmu, a despotyzm sprowadza do wolności. Miliony istot zginęły, nie

mogąc zapewnić zwycięstwa żadnemu z tych systemów. Czyż to nie jest błędne koło, w którym świat będzie się zawsze kręcił? Kiedy człowiek myśli, że go ulepszył, po prostu tylko poprzestawiał rzeczy.

– Ha, ha! – wykrzyknął wodewilista Cursy – w takim razie, panowie, wznoszę zdrowie Karola X, ojca wolności!

– Czemu nie? – rzekł Emil. – Kiedy despotyzm tkwi w prawach, wolność żyje w obyczajach i na odwrót.

– Pijmy tedy za głupotę władzy, która daje nam tyle władzy nad głupcami! – rzekł bankier.

– Ech, panowie, Napoleon zostawił nam bodaj sławę! – krzyczał oficer, który nigdy nie wypłynął z Brest.

– Och! Sława, smutny towar. Drogo kosztuje, a nie trzyma się długo. Byłaby ona egoizmem wielkich ludzi, tak jak szczęście jest egoizmem głupców?

– Panie, pan jesteś bardzo szczęśliwy...

– Pierwszy, który wymyślił rowy, był z pewnością człowiekiem słabym, bo społeczeństwo przynosi korzyść jedynie mizerakom. Pomieszczeni na dwóch krańcach świata moralnego dziki i myśliciel mają jednaką odrzę do własności.

– Ślicznie! – wykrzyknął Cardot. – Gdyby nie było własności, jakże można by sporządzać akta?

– Ten groszek jest fantastycznie rozkoszny!

– A nazajutrz znaleziono księdza martwego w łóżku.....

– Kto mówi o śmierci?... Nie żartujcie, ja mam wuja.

– Pogodziłbyś się pewnie z jego stratą.

– Nie w tym rzecz.

– Słuchajcie, panowie! SPOSÓB ZGŁADZENIA WUJA. Cichooo! (**Słuchajcie! Słuchajcie!**) Mieć najpierw grubego tłusciutkiego wujaszka, to są najlepsi wujowie. (Poruszenie). Nakarmić go pod jakimkolwiek pozorem pasztetem z gęsich wątróbek.

– Ech, mój wuj jest wysoki, chudy, skąpy i umiarkowany w jadł.

– Och, tacy wujowie to potwory nadużywające życia.

– I – ciągnął pogromca wujów – oznajmić mu w chwili trawienia upadłość jego bankiera.

– A jeśli nie poskutkuje?

– Puśćcie nań ładną dziewczynę.

– A jeśli jest...? – rzekł inny, czyniąc gest negatywny.

– W takim razie to nie jest wuj... wuj jest z reguły figlarz.

– Wiecie, Malibran straciła dwie nuty.

– Nie, szanowny panie.

– Tak, szanowny panie.

– Och, och! Tak i nie, czyż to nie są dzieje wszystkich sporów religijnych, politycznych i literackich? Człowiek jest błaznem tańczącym nad przepaścią.

– Jeżeli pana dobrze rozumiem, to znaczy, że jestem głupcem?

– Przeciwnie, to dlatego że mnie pan nie rozumie.

– Oświata, ładna zabawka! Heinefettermach oblicza ilość drukowanych tomów przeszło na miliard, a życie człowieka nie pozwala przeczytać ani stu pięćdziesięciu tysięcy. Zatem wytłumaczcie mi, co znaczy słowo **oświata**? Dla jednych, oświata znaczy znać imiona konia Aleksandra, doga Berecilla, pana Accords, a nie znać imienia człowieka, któremu zawdzięczamy spław drzewa albo porcelanę. Dla drugich, być oświeconym, to umieć spalić testament i żyć jak uczciwy człowiek, kochany, szanowany, zamiast ukraść zegarek jako recydywista z pięcioma obciążającymi okolicznościami i dać głowę na placu *de la Grève* jak człowiek znienawidzony i zhańbiony.

– Czy Natan zostanie?

– Och, jego współpracownicy mają dużo talentu.

– A Canalis?

– To wielki człowiek, nie mówmy o nim.

– Jesteście pijani.

– Bezpośrednim następstwem konstytucji jest spłaszczenie inteligencji. Sztuki, nauki, pomniki, wszystko pożera przerażające uczucie egoizmu, trąd naszej epoki. Waszych trzystu mieszczuchów obsiadających ławki parlamentu będzie myślało jedynie o sadzeniu topoli. Despotyzm robi nielegalnie wielkie rzeczy, wolność nie zadaje sobie nawet trudu robienia legalnie bardzo małych.

– Wasze zbiorowe nauczanie wybija z ludzi pięciofrankówki – przerwał absolutysta. – W narodzie zniwelowanym przez oświatę zanikają indywidualności.

– Jednakże czy celem społeczeństwa nie jest dostarczyć każdemu dobrobytu? – spytał saintsimonista.

– Gdybyś pan miał pięćdziesiąt tysięcy franków renty, nie troszczyłbyś się o ludzi. Napadła pana szlachetna miłość ludzkości? Jedź pan na Madagaskar; znajdziesz tam miły narodek, jeszcze świeży, do zsaintsimonizowania, sklasowania i wsadzenia do słoja; ale tu każdy wchodzi zupełnie naturalnie w swoją przegródkę jak gąsienica w swoją dziurę. Odźwierni to są odźwierni, a głupcy są głupcy, nie trzeba im patentu z kolegium dobrych Ojców. Ha, ha!

– Pan jesteś karlistą?

– Czemu nie? Lubię despotyzm, znamionuje pewną pogardę dla rodzaju ludzkiego. Nie mam nienawiści do królów. Są tacy zabawni! Królować w swoim pokoju, o trzydzieści milionów mil od słońca, czy to nic?

– Streśćmy tedy ten szeroki pogląd na świat – rzekł uczony, który dla pouczenia roztargnionego rzeźbiarza zaczął rozprawę o narodzinach społeczeństw i o ludach pierwotnych. – Na początku narodów siła była poniekąd materialna, jedna, gruba; po czym ze wzrostem skupień rządy zaczęły mniej lub więcej zręcznie rozkładać pierwotną władzę. Tak w odległej starożytności siła była w teokracji; kapłani dzierżyli miecz i kadzielnicę. Później były dwa kapłaństwa: kapłan i król. Dziś nasze społeczeństwo, ostateczny kres cywilizacji, rozdzieliło władze wedle ilości kombinacji: doszliśmy do sił zwanych **przemysł, myśl, pieniądz, słowo**. Postradawszy w ten sposób jedność, władza dąży bez ustanku ku rozkładowi społecznemu, niemającemu już innej zapory prócz interesu. Toteż nie opieramy się już ani na religii, ani na sile materialnej, ale na inteligencji. Czy książka zastąpi miecz? Czy dyskusja zastąpi czyn? Oto zagadnienie.

– Inteligencja zabiła wszystko! – wykrzyknął karlista. – Daj pan pokój! Absolutna wolność wiedzie narody do samobójstwa, nudzą się w tryumfie jak Anglik-milioner.

– Cóż wy nam powiecie nowego? Dziś ośmieszycie wszelką władzę, a nawet stało się rzeczą pospolitą przeczyć istnieniu Boga! Nie ma już wiary! Toteż nasz wiek jest niby stary sułtan strawiony rozpustą! W końcu wasz lord Byron, jako ostatni etap poetyckiej rozpacz, opiewał zbrodnicze namiętności!

– Czy wiesz – odparł Bianchon zupełnie pijany – że odrobina fosforu więcej albo mniej czyni geniusza lub zbrodniarza, inteligentnego człowieka lub idiotę, cnotliwego lub łajdaka?

– Jak można w ten sposób traktować cnotę – wykrzyknął Cursy – cnotę, temat wszystkich sztuk teatralnych, rozwiązanie wszystkich dramatów, podstawę wszystkich trybunałów...

– Ech, zamilcz, bydlę. Twoja cnota to Achilles bez pięty – rzekł Bixiou.

– Pić!

– Chcesz się założyć, że wypiję butelkę szampana duszkiem?

– Duszek!.. To miniatura ducha...

– Pijani jak... jak... – mamrotał młody człowiek, pojąc obficie swoją kamizelkę.

– Tak, panie, obecny rząd zasadza się na tym, aby dać królować opinii publicznej.

– Opinia? Ależ to najwyuzdańsza z prostytutek! Wedle was, panowie moralisci i politycy, trzeba by bez ustanku przekładać wasze prawa nad naturę, opinię nad sumienie. Ech, wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem! Jeżeli społeczeństwo dało nam pierze do poduszek, wyrównało to z pewnością dobrodziejstwem podagry, tak samo jak wydało procedurę, aby złagodzić sprawiedliwość, a katar w następstwie kaszmirowych szalów.

– Potworze! – rzekł Emil, przerywając mizantropowi – jak można złorzeczyć cywilizacji w obliczu tak rozkosznych win i potraw i leżąc brodą na stole? Kąsaj tę sarnę o złożonych rogach i kopytach, ale nie kąsaj swojej matki...

– Czy to moja wina, jeżeli katolicyzm pakuje w końcu milion bogów do worka z mąką, jeżeli republika kończy się zawsze jakimś Napoleonem, jeżeli królestwo mieści się między zamordowaniem Henryka IV a straceniem Ludwika XVI, jeżeli liberalizm staje się Lafayetem?

– Całowałeś go w lipcu?

– Nie.

– Zatem milcz, sceptyku.

– Sceptycy to są najsumienniejsi ludzie.

– Nie mają sumienia.

– Co ty gadasz! Mają co najmniej dwa.

– Sprzedawać niebo na pniu! Panowie, to genialna operacja handlowa. Starożytne religie były jedynie rozwinięciem rozkoszy fizycznej, ale my, myśmy rozwinęli duszę i nadzieję; jest postęp.

– Ech, moi dobrzy przyjaciele, czego wy możecie oczekiwać od epoki obżartej polityką? – rzekł Natan. – Jaki był los „Historii cygańskiego króla i jego siedmiu zamków”, najbardziej uroczego pomysłu?...

– To! – krzyknął „znawca” od drugiego stołu – to frazesy wyciągane na los szczęścia z kapelusza, istna literatura dla wariatów.

– Jesteś głupiec!

– Jesteś błazen!

– Ho, ho!

– Ha, ha!

– Pobią się.

– Nie.

– Do jutra, mój panie.

– Nie, zaraz – odparł Natan.

– Spokój! Spokój! Oba jesteście zuchy.

– A pan trzeci! – rzekł ten, który wszczął zwadę.

– Nie mogą się nawet utrzymać na nogach.

– Co! Może nie stoję prosto – odparł wojowniczy Natan, wstając chwiejnie.

Objął stół tępym spojrzeniem, po czym jak gdyby wycieńczony tym wysiłkiem opadł na krzesło, schylił głowę i siedział niemy.

– Czy to nie byłoby zabawne – rzekł znawca do sąsiada – gdybym się bił o utwór, którego nigdy nie widziałem ani nie czytałem?

– Emilu, uważaj no na swoje ubranie, twój sąsiad błędnie – rzekł Bixiou.

– Kant, powiada pan? Jeszcze jeden balon puszczonej dla zabawy głupców. Materializm i spirytualizm są to dwie ładniutkie rakiety, którymi szarlatani w biretach podbijają jednego i tego samego wolanta. Czy Bóg jest we wszystkim wedle Spinozy, czy też wszystko płynie z Boga wedle świętego Pawła... głupcy! Otworzyć czy zamknąć drzwi, czy to nie ten sam gest? Czy jaje bierze się z kury czy kura z jaja... Podaj mi kaczkę!... Oto cała wiedza.

– Głupcze – krzyknął uczony – kwestię, którą podnosisz, rozstrzygnął już fakt.

– Jaki?

– Katedry profesorskie nie zostały stworzone dla filozofii, ale filozofia dla katedr! Weź okulary, czytaj budżet.

– Złodzieje!

– Głupcy!

– Oszusty!

– Tumany!

– Gdzież poza Paryżem znajdziecie równie żywą, równie szybką wymianę myśli – wykrzyknął Bixiou przesadnym basem.

– Dalej, Bixiou, pokaż nam jaki kawał! Któryś z twoich klasycznych numerów.

– Chcecie, abym wam pokazał wiek dziewiętnasty?

– Słuchajcie!

– Cisza!

– Nałóżcie tłumiki na wasze ryje!

– Zmilczysz ty, chińczyku?

– Dajcie mu wina i niech stuli pysk to dziecię!

– Dalej, Bixiou!

Artysta zapiał czarny frak pod szyję, wdział żółte rękawiczki, puścił oko zezem i ułożył twarz w sposób mający wyobrażać *Revue des deux Mondes*; ale hałas pokrył jego głos, niepodobna było dosłyszeć ani słowa z jego konceptów. Jeżeli nie przedstawił **wieku**, przynajmniej przedstawił *Revue*, nie rozumiał bowiem sam siebie.

Deser zjawił się jakby czarami. Ustawiono na stole duży serwis ze złoconego brązu pochodzący z pracowni Thomira. Smukłe postacie wyposażone przez artystę kształtami, które przyjęto w Europie za wyraz idealnej piękności, podtrzymywały i dźwigały krzewy truskawek, ananasy, świeże daktyle, winogrona, brzoskwinie, pomarańcze przybyłe statkiem z Setubalu, granaty, chińskie owoce, słowem wszystkie niespodzianki zbytku, cuda sztuki cukierniczej, najsmakowitsze łakocie, najbardziej kuszące smakołyki. Kolory tych gastronomicznych obrazów podnosił blask porcelany, szlaki lśniącej złotem, faliste linie wazonów. Wdzięczna niby płynne frędzle oceanu, zielona i lekka piana wieńczyła krajobrazy Poussina skopiowane w Sevres. Całe państwo niemieckiego ksiązątka nie opłaciłoby tego bezczelnego zbytku. Profuzja srebra, perłowej masy, złota, kryształów, zjawiła się na nowo w innej formie; ale szkliste oczy i gadatliwa gorączka pijaństwa zaledwie pozwoliły biesiadnikom powziąć mgliste pojęcie o tej poezji godnej wschodniej bajki. Wina podane na deser przyniosły swój zapach i swój płomień; oszałamiające trunki, upajające opary, które pogrążają myśl w jakimś mirażu i których potężne wieży pętają nogi, obezwładniają ręce. Cursy pochwycił róg i zaczął trąbić pobudkę. Był to niby sygnał dany przez diabła. Oszałałe zebranie zaczęło wyć, gwizdać, śpiewać, szemrać, krzyczeć, ryczeć. Pocieszne było widzieć, jak ludzie z natury weseli stali się posępni niby koniec tragedii Crebillona lub rozmarzeni jak marynarz w powozie. Inteligentni ludzie rozpowiadali swoje tajemnice ciekawym, którzy nie słuchali. Melancholicy uśmiechali się jak tancerki kończące swoje piruety. Klaudiusz Vignon kołysał się jak niedźwiedź w klatce. Serdeczni przyjaciele bili się. Podobieństwa do zwierząt wypisane na twarzach ludzkich, a tak ciekawie wykazane przez fizjologów, ujawniały się mglisto w gestach, w ruchach. Była tam gotowa książka dla jakiegoś Bichata, który by się tu znalazł trzeźwo i przytomnie. Gospodarz domu, czując się pijany, nie miał odwagi wstać, przychwalał jedynie szaleństwu swych gości martwym grymasem, starając się zachować przyzwoitą i gościnną minę. Szeroka jego twarz, w tej chwili czerwono-sina, prawie fioletowa, straszna, brała udział w powszechnym ruchu za pomocą wysiłków podobnych do kołysania się okrętu lub trzęsienia breku.

– Czy pan ich zamordował? – spytał Emil.

– Mówią, że kara śmierci ma być zniesiona na intencję rewolucji lipcowej – odparł Taillefer, podnosząc brwi z miną pełną wraz sprytu i głupoty.

– Ale czy pan ich nie widzi kiedy we śnie? – nalegał Rafael.

– Już jest przedawnienie! – rzekł morderca spęczniały złotem.

– I na jego grobie – wykrzyknął Emil sardonicznie – przedsiębiorca pogrzebowy wyrzyci: **Przechodniu, użyż łzy jego pamięci!**... Och! – dodał – dałbym chętnie pięć franków matematykowi, który by mi algebraicznie dowiódł istnienia piekła.

Rzucił pieniądz w powietrze, wołając:

– Bóg albo nic! Orzeł czy reszka!

– Nie zaglądał – rzekł Rafael, chwytając pieniądz – kto wie? Przypadek jest tak figlarny!

– Niestety – podjął Emil z żałośnie błazeńską miną – nie widzę, gdzie postawić nogę pomiędzy geometrią niedowiarka a *Pater noster* papieża. Ba! Pijmy. **Pij!** taka jest, o ile mi się zdaje, wyrocznia boskiej flaszki i służy za konkluzję Pantagruelowi.

– *Pater noster* – rzekł Rafael – dało nam naszą sztukę, nasze pomniki, może naszą naukę i – większe jeszcze dobrodziejstwo! – naszą nowoczesną formę rządu, w której wielka i twórcza społeczność znajduje cudowne przedstawicielstwo w pięciuset inteligencjach, gdzie przeciwstawiające się sobie siły zobojetniają się wzajem, zostawiając całą władzę cywilizacji, gigantycznej królowej zastępującej króla, ową dawną i straszną postać, rodzaj sztucznego Losu stworzonego przez człowieka między niebem a nim. W obliczu tylu spełnionych dzieł ateizm robi wrażenie bezpłodnego szkieletu.

– Myślę o potokach krwi wylanych przez katolicyzm – rzekł chłodno Emil. – Wziął nasze żyły i nasze serca, aby zrobić parodię potopu. Ale mniejsza! Wszelki człowiek, który myśli, powinien kroczyć pod sztandarami Chrystusa. On jeden uświęcił tryumf ducha nad materią, on jeden objawił nam poetycko ów pośredni świat dzielący nas od Boga.

– Ty wierzysz? – podjął Rafael, spoglądając nań z nieokreślonym uśmiechem pijaństwa. – A więc, aby się nie złapać, wznieśmy toast: *Dius ignotis!*

I wypróżnili swoje kielichy wiedzy, kwasu węglowego, aromatu, poezji i niedowiarstwa.

– Jeżeli panowie zechcą przejść do salonu, kawa już jest podana – rzekł marszałek dworu.

W tej chwili prawie wszyscy biesiadnicy tonęli w owej rozkosznej otchłani, gdzie światła ducha gasną, gdzie ciało uwolnione od swego tyrana oddaje się oszalałym rozkoszom swobody. Jedni, doszedłszy szczytu pijaństwa, siedzieli posępni, starając się z wysiłkiem chwycić myśl, która by im potwierdziła ich własne istnienie; drudzy, pogrążeni w martwocie zrodzonej z ciężkiego trawienia, byli zaprzeczeniem wszelkiego ruchu. Najwytrwalsi gębacz bełkotali jeszcze mętne słowa, których sens umykał się im samym. Jakież refreny rozlegały się niby dźwięk automatu zniewolonego wyładować swoje sztuczne i bezduszne życie. Cisza i hałas sparzyły się dziwnie. Mimo to, słysząc dźwięczny głos lokaja, który w zastępstwie pana obwieszczał im nowe rozkosze, biesiadnicy wstali, porwani, podtrzymywani lub niesieni jedni przez drugich. Całe zebranie zatrzymało się przez chwilę nieruchome i oczarowane na progu. Wszystkie przepychy uczy zbladły wobec drażniącego widoku, jaki amfitrion zgotował najrozkosznieszemu z ich zmysłów. Pod jarzącymi świecami złotego żyrandola, dokoła stołu wykładanego emalią grupa kobiet ukazała się nagle oczom osłupiałych biesiadników, których oczy zapłonęły na kształt diamentów. Bogate były stroje, ale jeszcze bogatsze były te olśniewające piękności, wobec których znikwały wszystkie cuda tego pałacu. Namiętne oczy tych dziewczyn uroczych jak czarodziejki były jeszcze żywsze niż potoki światła ślizgające się po atłasowych firankach, białych marmurach i delikatnych brązowych rzeźbach. Serce zaczynało płonąć na widok kontrastu ich falujących włosów oraz ich póz, tak różnych powabem i charakterem. Był to niby klomb kwiatów przeplatanych rubinami, szafirami i koralami; smuga czarnych przepasek na śnieżnych szyjach, lekkie szarfy bujające niby płomienie latarni, pyszne turbany, skromnie wyzywające tuniki. Seraj ten stręczył pokusę wszystkim oczom, rozkosz wszelkiemu zachceniu. Tu tancerka w czarującej pozie zdawała się naga pod płynnymi fałdami kaszmiru. Tam przejrzysta gaza, tu mieniący się jedwab, kryły lub odsłaniały tajemne powaby. Małe wąskie stópki mówiły o miłości, świeże i czerwone usta milczały. Wątłe i skromne młode dziewczyny, rzekome dziewice, których ładne uczesanie oddychało klasztorną niewinnością, ukazywały się niby zjawy, które może rozwiać lada podmuch. Następnie arystokratyczne piękności o dumnym spojrzeniu, ale omdlewające, wątłe, smukłe, pochylały głowy jak gdyby miały jeszcze na sprzedaż królewskie poparcie. Angielka, biała i czysta eteryczna postać, spłynęła z chmur Osjana, podobna do anioła melancholii, do wyrzutu uchodzącego przed zbrodnią. Paryżanka, której cała piękność leży w nieuchwytnym wdzięku, dumna ze swego stroju i dowcipu, zbrojna swą wszechpotężną słabością, giętka i twarda, syrena bez serca i zmysłów, ale umiejąca sztucznie stworzyć skarby namiętności i podrabiać akcenty serca, również znalazła się w tym niebezpiecznym zebraniu, gdzie lśniły jeszcze i Włoszki – spokojne

na pozór i zachowujące czyste sumienie w swoim szczęściu – wspaniałe Normandki o pysznych kształtach, południowe kobiety o czarnych włosach, o ślicznie wyciętych oczach. Rzekłbyś, piękności Wersalu zwołane przez Lebela, od rana zastawiające wszystkie swoje sidła, przybywszy niby gromada wschodnich niewolnic zbudzonych głosem kupca, aby ruszyć o świcie. Stały zmieszane, zawstydzone, cisnąc się koło stołu niby pszczoły brzęczące w ulu. To lękliwe zakłopotanie, mające wraz coś z wyrzutu i zalotności, było albo jakąś wyrachowaną pokusą albo mimowolnym wstydem. Może jakieś uczucie, którego kobieta nie wyzbywa się nigdy w zupełności, nakazywało im otulić się w płaszcz cnoty, aby dać więcej wdzięku i smaku hojności występku. Toteż zamach uknuty przez starego Taillefera wydawał się chybiony. Tych ludzi bez skrupułów podbił w pierwszej chwili majestat potęgi, jaka stroi kobietę. Szmer podziwu rozległ się niby najśłodsza muzyka. Miłość nie dotrzymywała kroku w podróży pijaństwu; w miejsce huraganu namiętności biesiadnicy, zaskoczeni w słabej chwili, poddali się upojeniom rozkosznej ekstazy. Na głos poezji, która zawsze ma nad nimi władzę, artyści poczęli z zachwytem rozbierać delikatne odcienie tych wybranych piękności. Obudzony myślą zrodzoną może z oparów szampańskiego wina filozof zadrżał na myśl o nieszczęściach, jakie niosły te kobiety, godne może niegdyś najczystszych hołdów. Każda z nich miała z pewnością jakiś krwawy dramat do opowiedzenia. Prawie wszystkie przynosiły piekielne tortury, wlokły za sobą mężczyzn bez sumienia, zdradzone przysięgi, rozkosze okupione nędzą. Biesiadnicy zbliżyli się grzecznie; wnet nawiązały się rozmowy tak samo rozmaite jak charaktery. Utworzyły się grupy. Rzekłbyś, wykwintny salon, gdzie młode panie i panienki podają gościom po obiedzie kawę, likiery i cukry, mające im pomóc w mozolach pracowitego trawienia. Ale niebawem tu i ówdzie rozległ się śmiech, szmer wzmógł się, głosy zabrzmiały hałaśliwiej. Orgia, stłumiona przez jakiś czas, groziła rozpoczęciem się na nowo. Te kolejne fazy ciszy i zgiełku miały niejaki podobieństwo z symfonią Beethovena.

Siedząc na miękkiej otomanie, dwaj przyjaciele ujrzeni zbliżającą się ku nim wysoką i zgrabną dziewczynę o wspaniałej postawie, o fizjonomii dość nieregularnej, ale uderzającej i wyrazistej, przemawiającej do duszy silnymi kontrastami. Czarne jej włosy, splecione w lubieżny węzeł, jak gdyby świeżo przebyły batalię miłosną, spadały lekkimi puklami na szerokie barki, na których oko spoczywało z przyjemnością. Długie ciemne pasma na wpół otulały majestatyczną szyję, po której światło ślizgało się raz po raz, ujawniając delikatność jej ślicznych zarysów. Matowo błada skóra uwydatniała gorące tony jej żywych kolorów. Oko zbrojne długimi rzęsami rzucało śmiałe płomienie, iskry miłości. Czerwone, wilgotne i rozchylone usta wzywały pocałunków. Dziewczyna ta miała kibić dość tęgą, ale rozkosznie elastyczną; biust i ramiona były wspaniale rozwinięte jak u pięknych postaci Carrache'a; mimo to zdawała się gibka i zręczna. Siła jej pozwoliła zgadywać w niej zwinność pantery, tak samo jak krzepka wytworność jej kształtów przyrzekała palące rozkosze. Mimo że ta dziewczyna musiała umieć śmiać się i baraszkować, w oczach jej i uśmiechu było coś przerażającego. Podobna owym prorokiniom nawiedzonym przez demona, raczej budziła zdumienie niż zachwyt. Wszystkie wyrazy przesunęły się tłumnie, niby błyskawicami po jej ruchliwej twarzy. Oczarowałyby może zużytego rozpustnika, ale młody człowiek zląkłby się jej. Był to olbrzymi posąg, spadły gdzieś z wyżyn jakiejś greckiej świątyni; wspaniały na odległość, ale gruby z bliska. Bądź co bądź, piorunująca jej uroda musiała budzić niedołężnych, głos jej czarować głuchych, spojrzenie jej musiało ożywiać żądzą martwe szkielety; toteż Emil porównywał ją do jakiejś tragedii Szekspira, cudownego arabesku, gdzie radość życia wyje, gdzie miłość ma coś dzikiego, gdzie czarodziejstwo wdzięku i płomień szczęścia następują po krwawych wybuchach gniewu; potwór, który umie kasać i pieścić, śmiać się jak szatan, płakać jak anioł, dawać w jednym uścisku wszystkie pokusy kobiecie, wyjąwszy westchnienia melancholii i czarownych skromności dziewczyc; potem w jednej chwili wyć, rozdzierać sobie łono, łamać swoją namiętność, swego kochanka i wreszcie niszczyć samą siebie, jak czyni zbuntowany lud. Ubrana w czerwoną aksamitną suknię, deptała niedbale nogą parę kwiatów opadłych już z głowy jej towarzyszek i wzgardliwą ręką podała srebrną tacę. Dumna ze swej piękności, dumna może ze swego zepsucia, ukazywała białe ramię odcinające się żywo na aksamicie. Była tam niby królowa rozkoszy, niby obraz ludzkiej radości życia, radości, która trwoni skarby

nagromadzone przez trzy pokolenia, która śmieje się na trupach, drwi sobie z przodków, połyka perły i trony, przemienia młodzieńców w starców, a często starców w młodzieńców; tej radości dozwolonej jedynie olbrzymom zmęczonym władzą, doświadczonym myślą lub tym, dla których wojna stała się niby zabawką.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.